

wies

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok V

Łódź, 19 grudnia 1948 r.

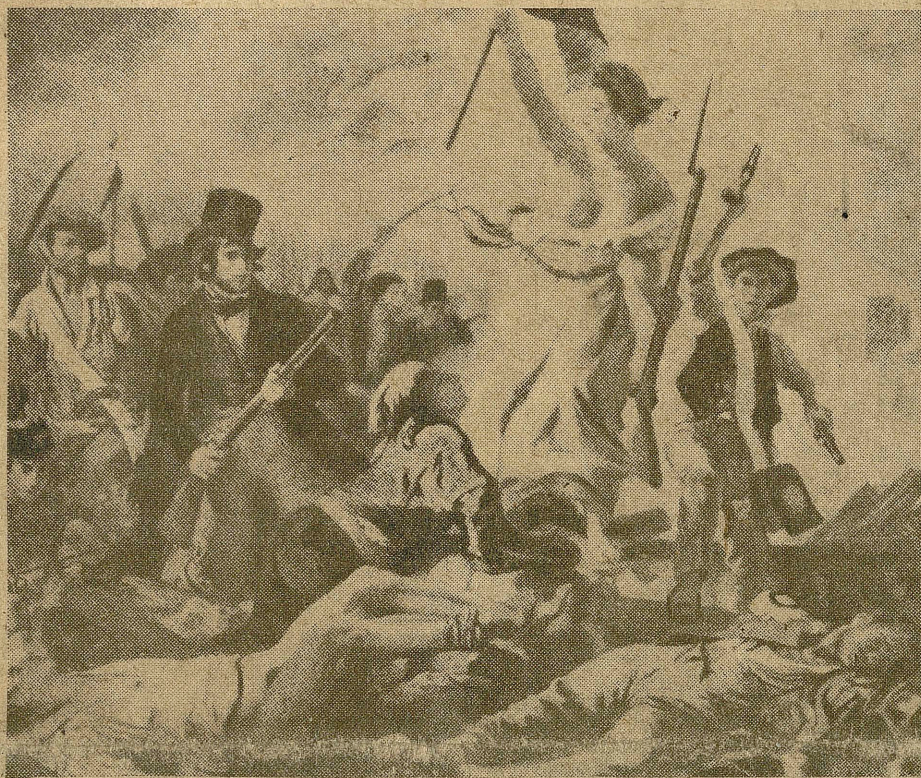
Nr 51 (179)

W NUMERZE
miedzy innymi:

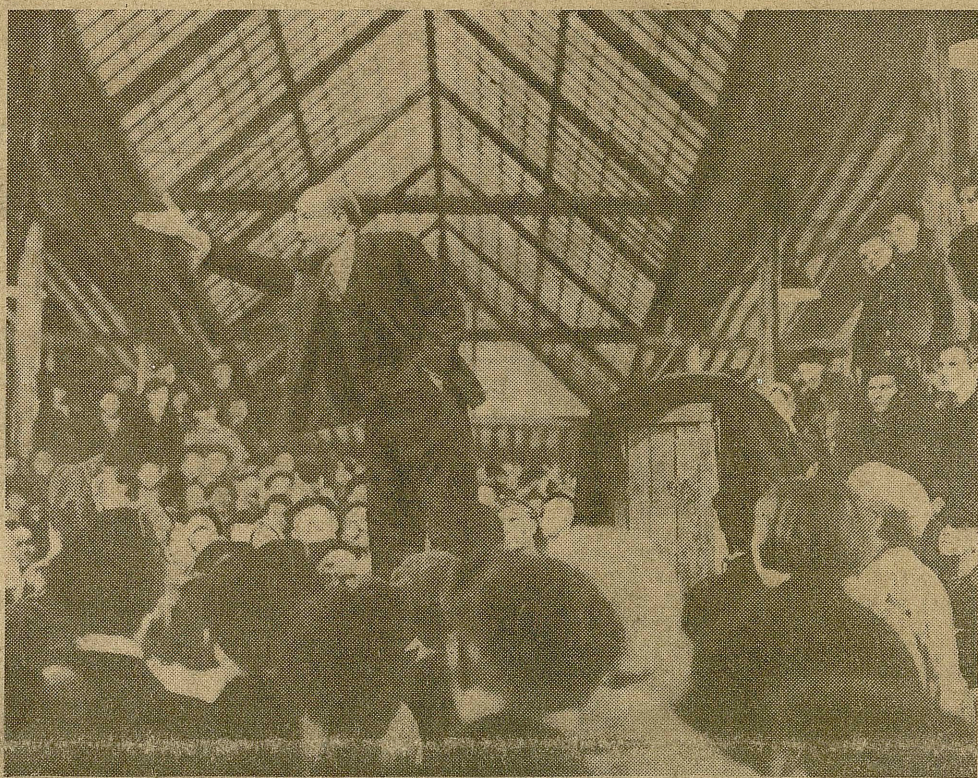
St. Gębala — Po plenum lipcowym.
T. Różewicz — Wiersze.
A. Kamińska — O konserwatywnej satyrze.
M. Grad — Pierwsze starcie.
J. Choczyński — Stapiński przeciw ks. Stojałowskiemu.
E. Kisch — Powódź w Konopiszcie.
M. Bodalski — Współzawodnictwo pracy w rolnictwie.
L. Szwengrub — A co z nich będzie później?
St. Stodolny — Bezpartyjny średniak.
J. Mozga — Alarm w sprawie Godzianowa.
J. A. Król — W atmosferze Gorzkowic.

Wiesław Jażdżyński i Krzysztof Sławiński

DEKLARACJE DWÓCH REWOLUCJI



E. Delacroix — Wolność



Lenin w 1918 r.

Wielka karta kapitalistycznej „wolności”

Ludzie rodzą się i pozostają wolni i równouprawnieni. Różnice społeczne nie mogą zasadzać się, jak na wspólnej korzyści.
Celem każdego zespołu politycznego jest zachowanie przyrodzonych i nie ulegających przedawnieniu praw człowieka. Temi prawami są wolność, własność, bezpieczeństwo i opieranie się uciskowi.

Pierwiastek wszelkiej zwierzchności w istocie swej mieści się w narodzie. Żadne zrzeczenie, żadna jednostka nie może wykorzystać władzy, która by wyraźnie nie wywodziła się stamtąd...

Prawo jest wyrazem woli powszechnej. W jego tworzeniu wszyscy obywatele mają prawo uczestniczyć osobiście, albo przez swoich przedstawicieli. Powinno być ono jedno dla wszystkich, czy to ochrania, czy każe. Wszyscy obywatele będąc równi wobec niego, narówni są dopuszczani do wszystkich godności, stanowisk i urzędów publicznych według ich zdolności i bez innej różnicy, jak ich cnota i talentów...

Nikt nie ma być niepokojony z powodu swoich zapatrywań, nawet religijnych, o ile ich wyrażanie nie zakłóca porządku publicznego, ustalonego prawnie.

Swobodne udzielanie sobie myśli i zapatrywań jest jednym z najcenniejszych praw człowieka: każdy obywatel może zatem swobodnie mówić, pisać, drukować, zastrzegając odpowiedzialność za nadużycie tej wolności w wypadkach oznaczonych przez prawo.

Wszyscy obywatele mają prawo stwierdzać sami lub przez swoich przedstawicieli konieczność podatku, przyzwalając nań według swego uznania, śledzić jego użycie i oznaczać ilość, rozkład, pobór i czas trwania.

Oto naczelne hasła, wpisane przez burżuazję do „Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela”.

Na placach wielu miast, w rewolucyjnych klubach paryskich, na szpaltach wielu pism mówili do narodu przedstawiciele burżuazji: „Istnieją prawa przysługujące wszelkiej jednostce ludzkiej i tych właśnie praw domagamy się nie tylko dla siebie, dla burżuazji, ale dla wszystkich ludzi, niezależnie od tego, czym są”.

Z ich ust wyszło, na całą epokę wołanie — pozwólcie działać!

Hasła te poderwały do walki proletariaty Paryża i innych większych miast Francji. Poderwały do walki o realizację „Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela” — drobnych rzemieślników. Cała ta olbrzymia masa ludzka stanowiąca dół społeczny stanu „trzeciego” stanęła u boku burżuazji do rozprawy ze starym feudalnym porządkiem.

Dlaczego? Przecież kilkadziesiąt lat później ten sam proletariaty toczył już twardą i bezwzględna walkę klasową z wielkim mieszczaństwem.

Fakt, że istniała rzeczywista sprzeczność pomiędzy feudalną arystokracją a resztą społeczeństwa, pozwolił burżuazji wystąpić w imieniu wszystkich cierpiących ludzi. Wpisane w deklarację słowa o wolności, równości i braterstwie były reprezentatywne dla żądań nie tylko wielkiego mieszczaństwa ale i drobnego, nie tylko dla proletariatu ale i chłopów.

Robotnik otrzymywał perspektywę praw osobistych, rzemieślnik szansę na wyzwolenie się z niewoli cechowej, chłop — widoki na własną, „niezależną” parcelę. Wielki, swobodnie rosnący przemysł, który miał produkować tyle dóbr, iżby każdy miał wszystkiego pod dostatkiem, możność swobody myśli i wypowiedzi, bezpieczeństwo osobiste, możliwość zajmowania stanowisk i regulowania podatków — to były argumenty wysuwane przez burżuazję pod adresem niższych warstw trzeciego stanu.

Któż wtedy mógł przypuszczać, że wieczna i „przyrodzona” idea sprawiedliwości: uczyniwszy się w burżuazyjnym sądownictwie, że prawo do własności, będzie dla drobnomieszczaństwa, proletariatu i chłopstwa prawem do szybkiego pozbywania się resztek własności. Któż mógł przypuszczać, że rozwijający się szybko przemysł podniesie właśnie nie zamożność, ale nędzę mas narodu, a instytucje społeczne i polityczne szydząc będą ze szczytnych założeń „Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela”.

Czy wiedział kto, że Wielka Rewolucja oznaczać będzie nie co innego, jak przejście władzy z rąk jednej klasy wyzyskującej w ręce drugiej?

Owszem, wiedziała o tym burżuazja, planu-

jaca z góry etapami przejęcie władzy z rąk rozkładającej się arystokracji feudalnej. Cagnac — dziadek wzywał proletariaty paryski do walki o wolność, równość i braterstwo. Cagnac — syn obnosił się po Paryżu z republikańską kokardą, ale w parlamencie grzmiał na przedstawicieli proletariatu i drobnomieszczaństwa. Cagnac — wnuk, strzelał już do manifestujących robotników.

Historia rodu Cagnac obrazuje najlepiej etapy rozwoju burżuazji i kapitalizmu, a zarazem etapy dewaluowania się pięknych słów z francuskiej deklaracji. Kilkadziesiąt lat — a już miała ona jedynie wartość papieru.

Przyjrzyjmy się historii.

Monarchia Ludwika Filipa — albo inaczej — „towarzystwo akcyjne do eksploatacji francuskiego bogactwa narodowego” — jak ją określa Marks w Konstytucji wpisano wszystkie swobody z „Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela”.

Olbrzymia część członków parlamentarnej większości mieszczańskiej, wśród nich sporo ministrów, to właściciele albo przynajmniej udziałowcy w szeregu przedsiębiorstw.

Panowie feudalni walczyli za „ojczyznę” przy pomocy szabli. Burżuazja ma wprowadzić żandarmerię do pilnowania praw człowieka i obywatela, walczy jednak głównie nową bronią — pieniądzem i kredytem, przy pomocy banków. Musimy bowiem pamiętać, że światowy kryzys z r. 1847 spowodował w rezultacie pomyślną koniunkturę przemysłową. Czy następujący po kryzysie okres prosperity odbił się korzystnie na bilansie płatniczym państwa? Nie — wprost przeciwnie. Co rok to większy deficyt. Któż więc akumulował kapitał? Oczywiście burżuazja — właściciel wszystkich fabryk.

A cóż z braterskimi uczuciami wobec proletariatu i drobnomieszczaństwa, do których odwoływała się w wielkich słowach „Deklaracja Praw Człowieka i Obywatela”, oraz republikańska Konstytucja?

Braterstwo skończyło się wraz ze zwycięstwem nad feudalizmem. Wspólnota interesów zakończyła się i odtąd na długie lata zdobywcze rewolucji odziedziczyła już tylko burżuazja. Oczywiście, mówiło się nadal, że „ludzie rodzą się i pozostają wolni i równo uprawnieni”. Jeszcze długi czas, bo aż do 1848 roku, słowo „fraternité” łagodziło narastający konflikt między proletariatem i kapitalistami. Niewykwalifikowany kapitalizm w pierwszej swojej fazie pozwalał na senty-

mentalne, uczuciowe wzloty ponad rosnące widmo walki klas.

Równocześnie biegła akcja pozbawiania proletariatu praw wpływania na losy Francji.

Jeszcze w 1848 roku wyznaczała opanowaną przez większość burżuazyjną Konstytucję — komisję śledczą, której głównym zajęciem było osadzanie w więzieniach przywódców robotniczych i drobnomieszczańskich, czynnych w lutowej i czerwcowej rewolucji. W marcu 1849 roku wniesiono na porządek dzienny obrad Zgromadzenia Narodowego sprawę zniesienia wolności zrzeszeń. Dla robotników i „czerwonych” drobnomieszczaństwa był to cios wielki. Kluby dyskusyjne, słynne za czasów rewolucji — paryskie kluby, otaczane kiedyś opieką przez burżuazję — zostały zniesione. Oznaczało to eliminację potężnych ośrodków intelektualnych ruchu proletariackiego.

Załatwiono się i z drobnomieszczaństwem. Po prostu grand bourgeois zażądał od petit bourgeois aby natychmiast mu wypłacił wszystkie należności. W ten sposób olbrzymia część rzemieślników i sklepikarzy francuskich została zupełnie zrujnowana, a reszta otrzymała takie warunki prowadzenia interesów, że stała się właściwie niewolnikiem wielkich banków.

Jakże więc ostatecznie wyglądała monarchia Ludwika Filipa a później republikańska Francja — owo burżuazyjne królestwo, oparte na „rozumie”?

Czy istniała wolność? Owszem, nawet nieograniczona, ale tylko dla wielkiej finansjery i właścicieli fabryk. Mogli oni rzeczywiście gromadzić dowoli kapitał i rzeczywiście gromadzili.

Czy istniało prawo do prywatnej własności? Owszem, ale spoczywało ono tylko w rękach burżuazji. Bo tylko ten ma własność, kto panuje nad środkami produkcji.

Była swoboda w czynie, mówieniu i pisanii? Tak, była, ale zastrzeżona odpowiedzialnością. Przyczem odpowiedzialność spadała na proletariaty (więźnia, zakaz klubów po rewolucji z 1848 roku). Wielkie mieszczaństwo nie odpowiadało za czyny, słowa mówione i drukowane.

Engels znakomicie ocenia porewolucyjną Francję: „Handel przechodził coraz bardziej w dzierżewo. Rewolucyjne hasło „braterstwa” urzeczywistniło się w szukanach i w zawiści walki konkurencyjnej. Brutalny ucisk ustąpił miejsca korupcji, zamiast szabli podstawową dźwignią władzy społecznej pozo-

Stanisław Stefan Gębala

Po plenum lipcowym w pewnej wsi

PÓŁ-DZIEDZICE

Wiadomości o uchwałach lipcowych plenum KC PPR doszły na moją wieś za pośrednictwem tych, którzy zareagowali na nie gwałtownymi sprzeciwami, uwagami pełnymi ironii i karykaturą prawdy. Właściciele odborników radiowych, prenumeratorki gazet, dziwni delegaci powiatowi i wojewódzcy, wszystko to było takim samym pośrednikiem jak niegdyś szlachcic — uczestnik kościuszkowskiej insurekcji mającej ogłaszać swym poddanym Uniwersał Połaniecki...

Dzień 8 sierpnia b. r. był upalny. Upał panował na ulicach powiatowego miasteczka, przechodnie skrupulatnie omijały nieoświetlone chodniki, a właściciele piwiarni zastanawiali okna swych lokali. Ponadto mimo, że dzień był świąteczny, pracowali tak jak pracuje się tylko w dzień targowy. Delegaci gromad, zarządów gminnych i organizacji wychylił tego dnia więcej kufli piwa, niż by tego dokonać mogła zwykła jarmarczna publiczność.

Aula po-hrabiowskiego pałacu, o ścianach okrytych myśliwskimi trofeami dawnych panów zamku nawykła do podobnych zebrań, tym razem nie mogła wszystkich pomieścić. Było więc pełno w wielkiej sali i korytarzu.

Zaczęło się od długiego przemówienia, mającego ambicję dać skrót dziejów świata. Siedzący obok obywatel już w godzinę po rozpoczęciu przemówienia poczuł się jak papieros, aby móc wypowiedzieć owo radosne słowo, przynoszące ulgę:

— Znaczący, że nie będzie — powiedział...

— Co nie będzie? — spytał bez skutku, bo mój rozmówca słuchał coraz uważniej, na pewno z usilnym staraniem pokonania w sobie czegoś najeżonego strachem. Uspokojeni słuchacze rozpięli krawaty, inni zaś zrzucili marynarki...

Z trybuny padło bowiem zapewnienie, że „kołchozów w Polsce nie będzie”... W czasie dyskusji zapytał ktoś o znaczenie słowa: kołchoz, przy czym opowiedział, że jadąc tu rowerem minął w drodze staruszkę, ciągnącą wózek z półkopkami snopów... Staruszek bał się widocznie o to, by po upale nie nastąpiła burza, więc uciekał przed nią, a jego starucha popychała, jak mogła, ich wspólny los nie będący przecież kołchozem... Gwizdy i pomruki oburzenia były odpowiedzią na te słowa. Jeden z moich sąsiadów kłął półgłosem.

— Psiakrew, zawołają dziada i barłozy tu. Potem szły w dyskusji „bolączki”. Dlaczego P.Z.Z. wozi makę tam i sam, a piekarnie muszą pędzić w ślad za nią 30 km i stamtąd ją przywozić, skoro mają młyn pod nosem... Jeśli więc potrzebują, dać im, a kwit niech wedruga... Dlaczego w jatkach powiatowego miasteczka są półki i szuflady, a w nich leżą odważone kawałki poledwici, zrazów, szynki itd. zamówione przez mecenasów, inżynierów, techników, a dla robotnika nie ma, a jeśli jest, to szczeka, kopyto albo kawałek ogona. Przemawiał także burmistrz jednego z miasteczek w powiecie ucharakteryzowany na chłopa. Mówił gwarą jak nikt z obecnych, a to co powiedział, aż kipiało od nadmiaru żywiołowej radości...

— I już balim się — kończył swe przemówienie — że, stanie się ten kołchoz, ale teraz skoro nasz pan obywatel poseł mówi, że kołchozów nie będzie, to cieszymy się i będziemy mogli dalej swobodnie pracować nad odbudową naszego kraju. Prelegent zmęczony i zdziwiony cierpiał widocznie. Dostojni i zamożni, ci którzy zajęli tu miejsce hrabiów i dziedziców, uspokoili się... Obywatel poseł cierpiał, cierpiał na skutek owej retorycznej pomyłki: „dawniej tu hrabiowie bawili, dziś my...”

Nudnawo już było, kiedy poprosiłem o głos. Niewiele miałem do powiedzenia: chciałem tylko zapytać, czy wartoby zaznaczyć, że uchwałami plenum tych, którzy nie przyszli. Nie przyszli, bo miasteczko na końcu powiatu i daleko, bo nie mieli kogo przy chudobie na cały dzień zostawić, nie mieli motocykli, powozów ani woźniców, należytego odzieża i odpowiedniego obuwia, takiego mianowicie i w takim stanie, by bez obrazy zebrania: można było w nich się pokazać. Gdyby tu byli, czy referenci potrzebowaliby dla uspokojenia stępią ostrość uchwał plenum KC PPR? Gdyby tu był ten, który włókł swoją nieszczęsną dolę wraz z wózkiem ze snopami, to chyba nie trzeba by go uspakajać. Usłyszałem poruszenie wśród zebranych i brzęk much. Organizatorzy poczerwienieli. Z kąta usłyszałem oklaski... Wszystko to znaczyło, że moje pytania wysłuchano z zainteresowaniem. Dalsze słowa mojego przemówienia dotyczyły wsi, którą zamierzano wytypować na wieś samopomocową.

II. SKOWIERZYN PO RAZ DRUGI *)

Pisałem o tej wsi z zachwytem, a było to w czasie rozpraw sądowych i ferowania wyroków po strajku chłopskim. Mnie i każdemu zwalczającemu sanacyjny reżim musiała się podobać owa beztroška, z jaką przyjmowano tam niezbyt łagodne wyroki, musiały się podobać te ceremonialne wyjazdy do aresztu z muzyką, z wozem w czwórce koni itd. Skądże mogłem wtedy wiedzieć, że promoto tego wszystkiego, sam „izolowany” przed każdymi wyborami od świata, jest nie-

omal przyjacielem starosty i że u tegoż sanacyjnego starosty z sympatią mówiło się o strajkowych i postrajkowych hecach? Artykuł mój umieszczony na pierwszej stronie tygodnika „Wici” czytany był z uznaniem we wsi, którą chwalono za owe zasługi, również z uznaniem odczytał go starosta swoim gościom przy pewnej rodzinnej uroczystości. Po tym jednak nastąpiły mniej barwne wydarzenia, wykryto miejscową K. P. P., aresztowano jej członków, i nikt nie zaprzął czwórki koni, nikt nie wystrzelił z moździerza, a we wsi mówiono o tym z szeptem lub wcale nie mówiono... Z zasług chwalonych przeze mnie ostała się przed późniejszym i sprawiedliwym osądem tylko jedna... To mianowicie, że mieszkańcy tejże wsi odwykli wcześniej niż cała okolica od czapkowania do stóp i młotów: odwagę mówić prosto w oczy powiatowym kacykom to, co mieli na swoich coraz to rosnących w dume chłopskich sercach. Wszystko inne było tylko powtarzaniem lekcji za Miłkowskim, wszystko inne służyć miało do postawienia ich na miejscu okolicznych dziedziców. I postawiło... Przyszedł czas oczekiwanej reformy rolnej i moi zapaleni chłopcy przekształcili się w dziedziców a przynajmniej w pół-dziedziców. Dlatego to zapytałem nagle prelegenta:

— Czy można w jakikolwiek sposób zachęcić pół-dziedziców do pójsiać z postępem? Prelegent wiedział, że nie można... W tym dniu dowiedział się także, że wieś, którą zamierzał wytypować na wieś samopomocową może być wsią wzorową także w sensie zabudowy i produkcji, ale do granic między indywidualnej gospodarki... To w tej wsi powaga i autorytet, kandydat do sejmiku ciśnięciem czapki o ziemię zareagował na wspomnienie o uchwałach lipcowych plenum.

— Co to, to już nie, panie pośle...

Przed kuźnią w rodzinnej wsi spotykałem ludzi ze Skowierzyna i z miejsca zaczynała się „polityczka”... Już nam niczego nie ulepsza — powiadają. Jeden z nich obrazowo przedstawił mi położenie swojej wsi. Chwylił leżące przed kuźnią bosc koło i postawił je piasną na szczycie słupka w ogrodzeniu...

— Tak stoi nasza wieś... Stoi jak najwyżej. Ale sprobuj cośkolwiek poprawiać w tym położeniu! — Koło naturalnie spadło, a mówca triumfował.

— No widzisz... Tyle jeszcze można z wsią naszą zrobić.

I rzeczywiście. Zamożni i ciągle w zamożność rosnący nie potrzebują na razie poprawek w swym położeniu. Kiedyś dopiero, gdy rozdrabnianie gruntów pójdzie swoją koleją, wtedy może, może wyrosnąć znowu poczucie potrzeby reformy i znowu butnie i czupurnie wieś upomni się o nią. Na razie czuje się dobrze i w ogóle jest w niej wszystko, co kwalifikuje jej wzorowość i powszechność... Tak jest we wsi, gdzie jeśli czegoś brak, to biednych. A brak to jest dobitki i daje się we znaki wszystkim, bo cóż ci po bogactwie, kiedy nie możesz nikomu powiedzieć: „dziadku”.

Co po bogactwie, gdy nie ma biednych i komuż okazać „błogosławioną dobroć człowieka”? Parobcy, służące i pastuchy nie liczą

się przecież, są wrośnięci „organicznie” w gospodarstwa pół-dziedziców...

III. WIEŚ NA ROZDROŻU

Szczęściem cała okolica usiana jest wsiami, gdzie obok mokradeł i olchowych lasów są żłtne zagony, gdzie wśród piaszczystych wydymisk mozi się biedota, zbiornica emigracyjnej, do wszystkiego przydatnej masy. Tam w tych piaszczystych wsiach pięciomorgowi „bogacze” zarabiają niezły grosz u „hołoty”, która z uporem trzymając się ziemi inwestuje w nią i traci całoletnie zarobki... Ziemię zaorać i obsiać trzeba: taki już jest przyrodzony „mus”, krowinę chodować trzeba, bo czymże żyłoby dzieci, ale i za orkę i za wyżywienie chudoby trzeba oddać grosze, a żeby je mieć, trzeba ciepłać się każdej roboty, trzeba iść do miasta na sezon budowlany, mieszkając byle gdzie, żywić się byle czym i składać grosz do grosza...

Kto nie zna tych „biłgorajców”? Przecież to oni pracują przy odbudowie Warszawy, ale nikt nie wie, że wielu z nich pochodzi ze wsi, gdzie jeśli jest coś z cegły, to chyba kołmin, albo dworski budynek zamieniony na szkołę...

Licha gleba, rozdrobnienie ziemi powodują, że we wsiach tych rolnicze zajęcia są zajęciami kobiet i dzieci. Jeśli nie ma głodnych i obdartych, to tylko dzięki temu, że nie ma bezrobotnych... Zdawałoby się, że mieszkańcy tych wsi na pograniczu między wsią a miastem, między rolnictwem a przemysłem, ogólnie i powszechnie odczuwają pragnienie jak najgłębszych reform. Kto jednak zna te wsie ten wie, że i ich społeczność podzielona jest na klasy, a nawet kasty...

Do podziału doszło tak: Oto w mojej wsi syn kobiety, która w czasie pierwszej wojny światowej umarła z głodu, postawił z „niczego” gospodarstwo o murowanych budynkach z parą koni, czworogiem bydła i siedemnastoma morgami ziemi...

Syn ubogiej kobiety został mistrzem budowlanym, a dzięki znajomościom zawartym na wojnie nie cierpiał na brak pracy. Mistrz zatrudniał robotników, a ci z wdzięczności pomagali: obrobić mu siedemnaście morgów, pobiudować budynki, a kiedy przyszły czasy zmuszające do zebrania o pracę, mistrz spęczniał...

Oto drugi: Ten — majster robót melioracyjnych i dostawca jarzyn: duże gospodarstwo, większe dwukrotnie od nierozdrobnionego jeszcze gospodarstwa ojca, z którego wyszedł. Dwadzieścia lat pracy i kombinacji po ukończeniu trójmiesięcznych kursów przy CTO i KR. A oto inny: żadnych kursów i żadnych szkół. Zwykły murarz, był jednak czas, kiedy murarze umieli się u przedsiębiorcy o zaległe dniówki... Przedsiębiorca nie miał... Nie tylko nie miał, lecz potrzebował na gwałt tysiąca zł na spłacenie weksla. Nasz murarz miał tysiąc złotych, owinięte w papier banknoty położył na stole...

— Proszę — powiedział do przedsiębiorcy: odtąd nie brako mu pracy, ani robotników na morgach, które corocznie dokupywał.

Sprzedających nie brakło. Ten sprzedawał na spłatę rodzinną, ów szedł na emigrację, inny przenoślił się do syna na dobre już zdomowionego w mieście. Na oczach rosły te murarskie „fortuny”, przekształcające murarzy i mistrzów w przedsiębiorców rolnych, korzystających z bezpłatnego, grzesznościowego robotnika rolnego. Byłoby przyznaniem się do niedołęstwa nie mieć w planie czegoś w rodzaju wzbogacenia się. To też niemal wszyscy młodzi nosili ideę „wzbogacenia się” jak żołnierze Napoleona buławę w tornistrze... Wzbogaceni stanowili naczelną klasę społeczną wsi, które nazywam wsiami z „pogranicza”. Dla nich były szkoły i to najlepiej zawodowe, dla nich najryzykowniejsze przedsięwzięcia, ale w zakresie prywatnych interesów. Pod czterdziestkę resztki ideałów usychały jak jesienne liście.

W tym wieku rozwiewają się iluzje, w rekach i nogach zaczyna się strzykanie reumatyzmu, w żyłach często gęsto zwapnienia, alkoholizm, dobroliwie i mile zagłuszający wszystko, czego dokonał w organizmie brak odżywczych witamin i kaloryj. Spotykam przed wojną prezesa oddziału Zw. Robotników Budowlanych i jak zwykle z miejsca polityczka... Powiada ten prezes:

— Wyklopotałem od przedsiębiorcy pól 100 zł na słomę do sienników w baraku...

A każdy dalej główkę chowa w wiórach.

No i co powiecie? Gdzie kultura? — rozkłada prezes ramiona. Ale ja wiem, dlaczego ci niekulturalni ludzie spali na deskach. Dlatego, że sędził, że po latach takiego spania, będą mieć aksamitne kanapy, sofy i fortepiany... Wierzyli w spryt, przede wszystkim „w szczęście” i mieli wielką pewność siebie, a pewność ta przedstawia niemałą wartość. Można by kiepskim fachowcem, wiele nie umieć, tajniki swego zawodu znać tylko po łebkach, ale braki te nadrobi się pewnością siebie. Udostępnione na szeroką skalę kursy zawodowe zdążyły już wypuścić szeroką rzeszę ambitnych majstrów i „podmajstrów”, a niebawem dotąd rozwój przemysłu budowlanego dał im pracę, nadzwędne stanowiska i doskonałe zarobki. Te ostatnie użytkowane starochołpskim obyczajem — dokupieniem morgi — dały w rezultacie nowopowstające, szybko bogacące się gospodarstwa rolne i chociaż nie wszystkim dane było dopiąć celu, to jednak nie wzmagalo to jeszcze dostatecznie poczucia konieczności głębokich reform społecznych. Młodzi biedni, pozostająca w tyle za swą produkcją częścią, niewiele tu znaczy i jest tylko cieniem i echem swoich przodków.

IV. A JEDNAK

Jak powiedzieliśmy, ambitne plany tracą swą różowość w wieku lat czterdziestu. Nie wszystkim posłużyło szczęście i nie wszystkim dopisało zdrowie: pozostała gospodarczka z krowiną, w niej utonę nierentownie większość mularskich zarobków. Żyjąc na ten dziwny i napój tylko wiejski sposób wyczerpuje i nie daje zadowolenia. To też tu, w tej warstwie społecznej, są ludzie najchętniej nadstawiający ucha nadchodzącym nowinom...

Tu, jak mi się wydaje, najwcześniej przyjmie się i rozwinię unowocześnienie metod produkcji rolnej, które może upodobnić ich nareszcie do ludzi z miasta. Są oni zdania, że podobieństwo to wyrazi się m. in. emeryturą na starość, zniesie starce usługi na własnych gospodarstwach... ustanie pastusza wysługa, to nieszczęsne pasanie krów... kiedy zaniknie ich zdolność do prac poważniejszych. Mowa tych ludzi brzmi zawsze szczerze i staje się pełną jest ironią... Niejeden z tych starszych w chwilach usposabiania do szczerości mówi cedząc słowa:

— Zaczęłem od pasania krów, obszedłem pół świata, przebyłem trzy wojny i znowu krówki sobie pasę...

A kiedy opowiadałem o tym wszystkim podczas dyskusji i kiedy zaproponowałem by wieś „samopomocową”, tę bądź co bądź niebywałą nowość zacząć od ludzi, od właściwej klasy: biedoty i średniorolnych, którzy okrażają wokół Skowierzyna i wysługują się jego wielu zamożnym — i swoim nielicznym zamożnym, prelegenci z oburzeniem odpowiedzieli... Są oni zdania, że nie od ludzi, a od tustości gleby i krów zaczynać należy.

— Nie można — powiedzieli — inwestować w lotne piachy, gdzie nawet złoty łubin wysycha... Skowierzyn stokrotnie odda każdy inwestowany grosz, a już dziś ma być, o jakie trudno gdzie indziej.

Nie było już możliwości dla dalszych nasuwających się uwag: przy takich zasobach i zamożności gospodarzy można być wsią wzorową bez wkładów z zewnątrz. Wieś taką stać na twardą nawierzchnię dróg, na elektryfikację i radiofonizację, stać na wspaniały budynek szkolny i dom ludowy i wszystko inne, ale taki wzór będzie znów jeszcze jednym Łiskowem, jeszcze jedną wyspą na morzu biedy chłopskiej.

Tak skończyło się owo chłopskie zebranie, ale tylko to zebranie, sprawa bowiem biedoty i średniorolnych dopiero zaczęła. Przejdzie w ich ręce, a te się nie ustraszają perspektywy, na widok której pocili się 8 sierpnia na zebraniu pół-dziedziców.

Tadeusz Różewicz

BALLADA O KARABINIE

Synku synku mój gołąbku
czemu krzyczysz w nocy
Synku synku serce moje
co się tobie stało.

Matko matko
byli tutaj w domu
serce twe przebił
głową mi ucieli
dom nasz podpalił.

Matko
gdzie jest mój karabin.

Synku synku
co ci się przysniło
wojna jest skończona
dom nasz stoi biały
w sadzie kwitną drzewa
synku synku mój gołąbku
co się tobie stało.
Matko matko
gdzie jest mój karabin
słyszałem ich kroki
widziałem ich twarze
pochowane w mroku.

Trzeba ich zabijać
wojna nie skończona
trzeba ich zabijać
w Grecji i Hiszpanii
w Chinach Indonezji
i nawet pod ziemią.
Albo przyjdą tutaj
i dom nasz podpala
i wyrąba drzewa
i serce przebią.
„Suche nasze głosy
kiedy naszramy

DO FAŁSZYWYCH POETÓW

cicho i naiwnie
jak wiatr w wyschniętej trawie
lub szczerze łapki w rupiecach
naszych pustych piwnic”. (Eliot)

Są jak ubranka ptaków
po dwa
albo futrzane ubranka zwierząt
które lśnią
i spływa po nich woda

kiedy zamykają drzwi
jak gipsowe figury
tam wewnątrz
ze słodkimi uśmiechami idiotów
mówią „prawda? co to jest prawda?”
wznoszą oczy do nieba
wzruszają ramionami

a są to stworzenia które
mają po dwa języki
trzy oblicza
i sztuczne wnętrności

kręcą się dokoła na kregosłupach
obracają płaskie twarze na kregosłupach
wieje wiatr wieje wiatr

przyciskam powieki

piszczą mają oczy rozbiegane
miękkimi pyskami dotykają
mojego serca.

*) St. Gębala: „Winowajcy” — „Wiś”
Nr. 13 — 14 — 1948 r.

Anna Kamińska

O konserwatywnej satyrze chłopskiej

Nikt z piszących dotychczas o kulturze wsi i twórczości samorodnej chłopów nie zwrócił uwagi na rodzaj pisarski niezwyklej wagi w życiu środowiska wiejskiego — na satyrę.

Satyrkiem był pierwszy „poeta ludowy”, pańszczyźniany chłop — Jan Rak piszący wiersze na odwrocie okólników gminnych i certyfikatów bydła. Satyry Raka były zaprawione ironią i jakąś ogólną mądrością życiową, drwił z wad ludzkich dobroduszenie i z humorem. Satyrę zupełnie polityczną uprawiał Adam Marzec („Wierszowadła z prostego kowadła”) pismo satyryczne ludowe wydawał Jantek z Bugaja („Cepy”).

Byłoby sprawą niezwykle ciekawą wykazać z jakich grup chłopskich wychodziła ta satyra, jaką pełniła funkcję w życiu wsi, skąd czerpała schematy formalne.

Tutaj pragniemy tylko pokazać dwa aktualne i świeżo powstałe na wsi wiersze satyryczne świadczące o żywotności naszego zagadnienia.

Pierwszy z nich, to utwór starszego chłopca, nazywającego siebie rolnikiem. Jakuba Kani z Siolkowic pow. Opole. Wiersz ten nosi datę 1948 roku, podczas gdy sądząc po stylu umielibyśmy go co najmniej trzy wieki wstecz.

Zestawmy z naszym „Wierszem o strojach górnośląskich” np. satyrę Piotra Zbylitowskiego (wiek XV) p. t. „Przygana wymyślnym strojom białogłowskim”.

„Dziwny strój widzę w tym to kole
Niewieściej pici, a żadnej Polki tu nie

Witam sam nie wiem kogo, nie wiem kogo
baczę, raczę.

Nuż! nuż miłe niewiasty! jakoż się stroicie?
A na tym nędznym świecie co wżdy już

Cóż wam po takich wzorach złotem
haftowanych?

Na tych siatkach niemocnych, wzorno
malowanych.

Cóż wam po takim stroju, wymyślniej
robocie?

Nie tak matki chodziły o tem dobrze
wiecie.

Na co się wam przydadzą? na nic, dobrze
tuszę.
Tylko na zatracenie wiodą wasze dusze!”

Schemat treściowy identyczny: przygana cudzoziemczyzny (tu niemczyzny) — temat w szlacheckiej satyrze staropolskiej obowiązujący od Reya, zepsucie obyczajów i zanik bogobojności kobiet, pochwała dawności wobec czasów nowych.

Przecież nie chodzi tu o bezpośredni wpływ Zbylitowskiego ani też w ogóle satyry staropolskiej na wiersz naszego „rolnika”. O czymś jednak świadczy istnienie tych samych treściowych wątków w utworach tak odległych środowiskowo i historycznie. Oto satyra na cudzoziemczyznę i pochwała dawności aktualne dla szlachty w XVI wieku, kiedy to dokonywała się istotnie rewolucyjna przemiana — przejście z feudalizmu w gospodarkę folwarczną i pańszczyźnianą — zesłała do ludu i dziś jeszcze rości sobie prawo do aktualności w zmienionej społecznej perspektywie. Istotna i pozytywna aktualność tej satyry to właśnie protest przeciwko niemczyźnie w kulturze. Pożerana jednak aktualność polega na tym, że cudzoziemczyznę w stosunku do wsi staje się w ujęciu autora to wszystko, co przychodzi z miasta. Moda miejska wdziera się na wieś, stąd zanik pięknych tradycji rodzimych — wiejskich, stąd zepsucie człowieka. Tak wygląda ludowa wersja wątku satyrycznego: „Na cudzoziemczyznę”. Oczywiście jest, że autor należący do starszego pokolenia wiejskiego tkwi w systemie kultury ludowej, której jednym z zasadniczych zewnętrznych przejawów był strój chłopski. Przecież entuzjaści pozytywistyczni nawoływali nawet inteligencję do zrzucenia stroju miejskiego:

„W siermięgi bracia, w sukmany!...
Kto chce ludowi przewodzić,
Nie dość, że mu lud kochany,
W ludu szacie musi chodzić”...

Tak więc zapóźnienie stylu literackiego wiąże się w wierszu Kani z anachronicznym (poza sprawą niemczyzny) trwaniem zagad-

nienia „cudzoziemczyzny” na wsi z odpowiednim społecznym przedstawieniem.

Druga z przedstawionych satyr ma ciekawy i bliski nam kontekst społeczny. Artykuł Józefa Mozgi i Dymy Gałaja „Przedsiębiorcy-działacze „Wsi” w nr 42 tygodnika „Wiś” poruszył opinię całego Godzianowa, wsi, na tle której autorzy umieszczali swój problem, z której czerpali typowe, według nich, przykłady działaczy gospodarczych i kulturalnych, wychodzących z kręgu bogatych chłopów i traktujących swą wioskę jako własne zamknięte przedsiębiorstwo — w przeciwieństwie do nowych działaczy — biedniackich, którzy wskazują młodzieży chłopskiej ustrojowo — społeczne drogi awansu. Poruszeni Godzianowiaczy, a zwłaszcza przedstawiciele i spadkobiercy kmieci: godzianowskich wydelegowali dawną swoją nauczycielkę do dyskusji ze „Wsią”, odezwał się także autentyczny Rybus ze wsi Bocheń, gdyż poczuł się w swej działalności kułaka „przedsiębiorcy” dotknięty. Zainteresowani dyskusją pisarze-korespondenci, zasypali redakcję swoimi opiniami w sprawie Godzianowa i działaczy wiejskich. Opinie te drukowaliśmy już w części w poprzednich numerach. Redakcja „Wsi” przeżywała „dzień Godzianowa” — wiersze, listy i przybycie autorów artykułów, którzy mieli wiele do powiedzenia w sprawie walki, jaka toczy się w Godzianowie na temat poruszonych w artykule „Wsi”. Pierwszą bronią w tej walce jest właśnie satyra. Krąży po okolicy odpisy wiersza anonimowego przeciwko jednemu z autorów artykułu. Wiersz ten, który drukujemy w całości jest drugim analogicznym do pierwszego — przykładem głębokiego trwania tradycji satyry staropolskiej na wsi. Wiersza „Lot ptaka godzianowskiego” nie umielibyśmy bliżej jak w XVIII wieku. Jest to satyra paszkwilianka, ostra broń śmieszności i „osławy” mobilizująca całą opinię środowiska przeciwko jednemu.

I tu znajdziemy motyw odpowiedni w satyrze staropolskiej. Czy ów „ptaszek spod góry Franaszka”, przeciwko któremu zwraca się ostra wiejskiego satyryka, nie przypomina mutatis mutandis osiemnastowiecznych satyr „na fircyka”? Oto Adam Naruszewicz w wierszu „O prawdziwym szlachectwie” kpi z takiego fircyka, który mi-

mo, że stracił moralne prawa do szlachectwa — ubiera się weń i odważa się mniemać o sobie, że jest reprezentantem i dziedzicem wspaniałej tradycji szlacheckiej:

„Lecz mi się już uprzykrzył ów fircyk,
co gnuśnie
Żyjąc, coraz to w oczy swoją mitrą chluśnie
I wyjeżdża na popis, cudzym hardy plonem
Pawim się zalecając, jak kawka,
ogonem...”

„Wspomnij miły ptaszku o swojej przeszłości” — kończy wiersz nasz chłopski anonim zwracając się wprost do przeciwnika.

„Hola, dumny Tarkwinie!” — nawołuje swego antagonistę Naruszewicz.

Zabawna odpowiedniość literackiej konwencji tu i tam polega na tym, że i nasz „ptak godzianowski”, autor artykułu we „Wsi”, oskarżony zostaje o to, że bez prawa moralnego powołuje się na swoje związki ze środowiskiem chłopskim, na swą ludowość, która jest ludowością nowego chowu, ludowością, która z punktu widzenia obrazów nych godzianowskich powag ma charakter uzurpatorski. Z całym tym społecznym przedstawieniem nie jest dziwne, że gdy satyra Naruszewicza była postępową, satyra naszego anonimusa stoi na pozycjach starego pokolenia, broniącego dawnego porządku. W myśl zasady: „Stara wiara twierdzi, młody niech słucha” — anonim wyklina młodego huntułnika, przedłużając typowy dla wiejskiego środowiska w epoce przemian antagonizm starych i młodych.

St. Gębala pisząc o roli wiejskich korespondentów gazet, wysuwa problem podobny. Dopominając się o sprawiedliwość i słuszną ocenę w opinii pozawiejskiej, pisarze chłopscy na wsi — korespondenci zyskują w opinii wsi miano ptaków, kalających własne gniazdo.

„Sporty literackie można uprawiać,
Lecz gniazdo wsiowe w kąty nie
rozstawiać...”

oczywiście gdy gniazdo wsiowe to tradycją uznane na wsi autorytet, tradycją — jaką — jeśli nie parafialną?

JAKUB KANIA.

WIRSZ O STROJACH GÓRNOŚLĄSKICH

Ślązak się ubierał w czysto polskie stroje
Póki tu obczyzna nie weszła w podwoje,
600 laty to długi kawał czasu,
Nie mało się wciągnę tutaj tarasu.
Wpierał się gwałtownie między łudek polski,
Najprzód na Opolszczyźnie gdzie zalew germański
Dzisiaj jeszcze chodzą nasze babki Matki,
W długim stroju śląskim, ale już ostatki,
Nasze Matki noszą długie suknie strojnie,
Jest im to do twarzy jak i bogobojnie,
Na weselach, tańcach i różnych zabawach,
Gdzieby to chodzilo w strojeckich sprawach,
Wszędzie one bowiem swój egzamin zdały,
Teraz bojaźń córek by się nie wydały,
Jakby się we suknie swych matek ubrały.
I tak to zanika ten ładny strój śląski,
A z nim też zanika i obyczaj polski.
Jedna to na drugą chełpliwie spogląda,
Nie wia to że matka Kardynała Hłonda,
Także ten długi śląski strój nosiła,
I od wszystkich ludzi szanowaną była.
A skąd to tu przyszła ta wielka przemiana,
Ze córki rzucają od Matek ubrania,
Są niby to skromne niby to owiecki,
Lecz dają sobie syć tylko krótkie kiecki
A juzi ze to z miasta taki modny chwył,
Ślązacki pokazują światu ten swój wstył,
Booną drogą górnośląskie samouki,
Wdzierają się do kultury jak i sztuki,
Smutno nam tu było na tem Górnem Śląsku,
Byliśmy zaniedbani na całym okrąsku,
Ach! — co to za boleść od swych zaniedbani
A od obcych Niemców zupełnie wzgardzeni
Krótkie suknie to ciemności owoce,
Nasze zaś matki splecione we warkoce
Zaś ich córki każda niby głową kiwa,
Bo na głowie włosy jak u konia grzywa,
Całe rozczochrane nie mają porządku,
To też do nasz przyszło z jakiegoś zakątku,
Jeszcze coś nadmienić do tych naszych skargów,
Trzeba by tu wspomnieć o farbieniu wargów,
Przed niedawnym czasem my tego nie znali,
Teraźniejsza moda może i to chwali,
Strój koło Bytomia na wsi jest w całości,
W Rybnickim, Raciborskim to też jeszcze gości,
W Pszczęskim to galandą głowy ozdabiają,
Jak wesele huczne lub się zabawiają,
A zaś tam w Piekarach cepce wysywane,
Noszą je Matrony wstęgą ozdabiane,
A na wsi panuje ten długi strój śląski,
Co one mawiają to jest strój nasz polski,
Nie chcą pomalować już starej studoli,
Więc też nie chcą pisać tu żadnej pochwały,
Ale sobie myślę by to skutkowało,

To już trzeba pisać i to już nie mało,
I to trzeba pisać choćby młotem walił,
By nasz łudek przejrzał cudzego nie chwalił,
Zeby to dziewczeczki, rzuciły swe kiecki,
Bo to obca moda i zwyczaj niemiecki,
Chłopi górnośląscy, to tylko tam w górach,
Chodzą w kamuzelach wszystkich roku porach,
Zaś tam w Opolszczyźnie już tego nie widać,
Musieli już dawno Niemcom na to przydać,
Mowę zatrzymali, strój szedł do kaduka,
Bronić przed zalewem była wielka sztuka,
My na Śląsku nie tylko mieliśmy te skarby,
Ależ my nigdy nie zatracieli barwy.
I choć niejeden dostał lep kosmaty
Nie dziwnego to niewoli długie laty,
Wszystkich tam kosmatych już przycesać idzie,
Ino onem dopomóż w tej wielkiej biedzie,
Wiele to Niemcy pieniędzy wydawali,
Azeby lud śląski w swe sidła dostali
Gdzie tam po lasach jaki łudek skrajny,
To już zakładali niemieckie Vereiny,
Ależ wojna buchła z całym swem Impentem,
Musieli uchodzić z całym swoim sprzętem
Musiała uchodzić cała Germanija,
I już tu nie wróci niemiecka bestya,
Niechby te to moje liche wiersze,
Znalazły tam serce jak najszczerze,
Niechby zachęciły do cytania,
Jak ja się nazywam.

Jakub Kania.

Siolkowice, 24. 11. 1948 r. pow. Opole.

LOT PTAKA GODZIANOWSKIEGO

Nie szumny to był lot, nie wielka fraszka,
Frunął ptak z gniazda z pod góry Franaszka.
Rósł jak każdy — w krawiectwie się ćwiczył,
Lecz fach ten rzucił — z mozołem się liczył,
Gdy dorósł nie szedł jak inni do miasta,
Przesiedział na wsi UCZĄC SIĘ I BASTA,
Synem wsi się zwał, skończył nawet „Gacie”
Przed wojną tą kuźnię — więc o tym bracie
Kto skończył „Gacie” — mówię po raz wtóry,
Dziś się rozpycha i zbiera laury,
Lub inny ster lotu daje zakusie
Konika szuka, jeździ po Rybusie.
Nawet po Burzyńskich — chce wszystko scalić,
Warto więc za to żonkę mu pochwalić
Gacie zdobyła? jedna z Godzianowa —
Dziwić się dumie? też kobieta wsiowa,
Chociaż nie znosi wiejskiej znajomości
A że pretensje ma do wielkości
Któż dorówna z matron? gdzie? i która?
Jeśli jej syna chowała natura,

To postęp dziesięcisz — to jest wyjątek.
Temat ten przerwę, nie ten mój wątek.
Lot ptaka w B. Ch. o wolność miał troskę
W tym nawet synowi zdobył harmoszkę
U młodzieży grywał, i tu się szczył
Przed wojną z „WIEJSKIEGO” OCHRZCIŁ NA „WICI” —
Taką po sobie ZOSTAWIŁ SPUSCZINĘ
PRZEKŁADAŁ NA NASZE SŁAWNA PAŃSZCZYZNĘ
O SZLACHCIE — KSIEŻACH O CAŁEJ PRAWICY
ŚPIEWAŁ TO WSZYSTKO JAK PUSZCZYK W
DZWONNICZY.

NIE MIJAŁ OKAZJI — POWIEDZIEĆ SZCZERZE
GADAŁ NA PAMIĘĆ, JAK DZIAD PACIERZE
Z ZACHWYTEM SŁUCHAŁA LUDOWA KLIKA
Ciesząc się, że będzie mieć społecznika.
I Endek jeden patrzył jak w obrazek
Żył z nim w przyjaźni bez żadnych urazek.
Nie wiem kto w tej spółce miał więcej racji,
Był może wpływ wojny — czy okupacji.
Wojna się skończyła, ptaszek udał Greka
SPLUNAŁ W STARĄ KLIKE I KOPNAŁ ENDEKA.
Skończył maturo, obrósł w lata nowe,
SERCE NOWOCZESNE PRZYBRAŁ LUDOWE.
I z Godzianowa machnął aż do Łodzi,
Dziś o rywalach artykuły płodzi.
Nie próżno się w swej nauce mował
Dziękuję opiece, że darmo się szkolił
Dziękuję serdecznie, w całym serca splocie
Zło u wszystkich widzi, jest też w kłopotcie,
Bo znów nie mieści się w jego głowie,
który to człowiek pierwszy w Godzianowie.
Jest kościół ładny — plebania, szkoła,
Mleczarnia, spółdzielnia, wszystko dokola,
Chór, orkiestra i Chłopskie Pomocze,
Kto to wszystko stworzył? i w jakiej epoce?
Tu jest z tym fraszka — ptaszka oczywiście,
Przypisał to wszystko szwagrze organiście.
Ku swej chwale, ku jego zaszczytce,
W prasie ogłosił, akt wchodzi w życie
A teraz ptaszku zadam ci pytanie,
Czy i Ty masz w sześćioletnim planie
Wszystko zniwelować? zrównać? czy zatrzeć?
Czy tylko lekko wszystko chcesz PRZEWIETRZYĆ?
Lecz licz się ptaszku — są już ludzie starzy,
Nie wszystkim wiaterek służy do twarzy.
My znamy ciebie, znamy twoje zdania
Zachowaj dla siebie te wachlowania.
Nie szybuj wysoko w słońcu wosk stopisz
Próżno jak Ikar w morzu się utopisz.
Radzimy — zmień lot — i w dół daj susa;
Odwolaj i przeproś nawet Rybusa.
Radzimy my wszyscy, my Godzianowiaczy
Poszczególni, zrzeszeni i owacy.
Tak powiedz — krótko: że prawda oczywista
Pierwszeństwo ma pani, a nie organista.
Pani Krasnodębska skrzesała ducha.

Stara wiara twierdzi, młody niech słucha,
A wreszcie komu przypada chwała,
To wie Godzianów i okolica cała.
NIECH SĄDU NIE DAJĄ SZTUBAKI, NĘDZARZE,
Lepiej niech z książką chodzą dalej w parze.
Jeśli ty ptaszku, nie masz mocnej wiary
To zostaw w spokoju ten nasz chór stary.
Nasze matrony niech nam dalej nuca,
Zapewniam, że Boga tym nie zasmuca,
Resztę pozostałych zostawmy w spokoju,
GDYŻ ONI CIĘ DZWIGLI Z NĘDZY I ZNOJU.

Wspomnij miły ptaszku o swojej przeszłości,
Ludzi nie intryguj pod kątem zazdrości.
Sporty literackie można uprawiać,
Lecz gniazdo wsiowe w kąty nie rozstawiać.
Krytycyzm owszem jest bardzo potrzebny
Lecz zgodny z prawdą, szczery i rzetelny.
Kończąc swoją krótką, lecz luźną satyrę,
PROSZĘ TO PRZYJĄĆ JAKO DAR CZY MIRRĘ.

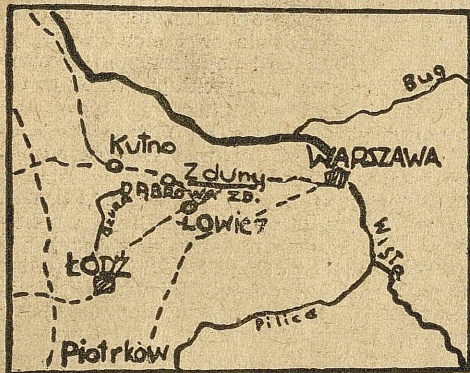
Stanowice

(Odpowiedź na Nr 42 — „Wieś”)

Lili Szwengrub

A CO Z NICH BĘDZIE PÓŹNIEJ?

Między Warszawą, Łowiczem a Kutnem leży gmina Bąków. A w gminie tej, w Zdunach i Zduńskiej Dąbrowie (obok) jest gimnazjum i liceum ogólnokształcące i liceum rolnicze. Powstały po wojnie. Wybudowały się i urządziły. Połowa uczniów z gminy Bąków, 20 procent z woj. warszawskiego, po parę procent z innych województw, z łowickiego powiatu i łódzkiego województwa najwięcej.



Gmina liczy około 10.000 mieszkańców, 2034 gospodarstw.

Od 0 — 2 ha —	298
„ 2 — 5 ha —	404
„ 5 — 10 ha —	908
„ 10 — 20 ha —	412
powyżej — 20 ha —	12

razem: 2.034

Na terenie gminy jest 12 szkół powszechnych:

2 siedmio-klasowe
1 trzy-klasowa (7 oddziałów)
1 cztero-klasowa (7 oddziałów)
2 dwu-klasowe (6 oddziałów)
6 jedno-klasowych.

Tyle było i przed wojną. Przed wojną też wybudowana została i uruchomiona (1929 r.) **niższa żeńska szkoła rolnicza** w Zduńskiej Dąbrowie. Szkoła ta powstała na resztówce (22 ha) z inicjatywy Jadwigi Dziubińskiej.

Tu znajduje schronienie wielu poszukiwanych działaczy ludowych, artystów, nauczycieli. Po powstaniu warszawskim szkoła organizuje akcje pomocy wysiedlenciom Warszawiakom (na wigili w szkole w 44 roku było ich 78).

W momencie wyzwolenia tajnymi komplectami objętych jest 173 osoby — młodzież chłopskiej i robotniczej.

Potrzebna jest szkoła na miejscu. Personel nauczycielski (wysiedlony) pozostaje na miejscu. Gimnazjum znajduje chwilowe pomieszczenie w szkole rolniczej w Zduńskiej Dąbrowie, skąd po wyzwoleniu młodzież rozjechała się w rodzinne strony, zostały tylko 23 uczennice miejscowe.

Gimnazjum rozpoczyna pracę zaraz po wyzwoleniu 18.2.1945 r. — wcześniej nim ukonstytuowało się Kuratorium w Łodzi.

Personel nauczycielski opłacają rodzice. Powstaje Komitet Budowy Gimnazjum (z rodziców i nauczycieli). Tej samorządnej akcji idzie w pomoc Rada Gminna, Powiatowa w Łowiczu, Wojewódzka, Kuratorium, Min. Oświaty, Min. Rolnictwa.

Komitet uzyskuje pozwolenie P. R. N. w Łowiczu i Kutnie na przewiezienie baraków celników niemieckich z pogranicza kutnowskiego. Przewożą je chłopci bezpłatnie. 5 maja 1945 r. zostaje skoszone żyto pod plac budowy (w Zduńskiej Dąbrowie).

W budowę idą fundusze państwowe, samorządowe, rodzicielskie, dotacje szkoły rolniczej i robocizna szarwarkowa wsi (987 bezpłatnych podwódek — przy zwiezieniu materiału budowlanego), częściowo robocizna samorządna, bezpłatna ze strony chłopców okolicznych, rodziców i nie rodziców — 18.11.45 r. budynek szkolny jest gotów. 9 klas, sala gimnastyczna, korytarz, hol, gabinet dyrektora, pokój nauczycielski, kancelaria, szatnia, ustępy, pokoje na bibliotekę i gabinet fizyczny — przyrodniczy. W budynku centralne ogrzewanie, kanalizacja i elektryczność.

W kilka miesięcy później stają dwa budynki mieszkalne dla nauczycieli (10 mieszkań 1—3 pokój, z łazienkami i centralnym ogrzewaniem). Ogólny koszt budowy (i mieszkań) 5.320.711 zł (w tym 70 proc. z subwencji). Rozpoczęto budowę internatu. Na razie młodzież dochodzi, dojeżdża, bądź mieszka



Grupa słuchaczek Żeńskiej Średniej Szkoły Rolniczej w Dąbrowie Zduńskiej

Z 25 absolwentów małej matury w roku 46—47 18 zostało w liceum na miejscu (liceum przyrodnicze), 7 poszło do liceów zawodowych

Z 50 absolwentów w roku 47—48 — 26 osób uczy się w liceum, reszta — poszła do szkół zawodowych (licea mechaniczne, elektrotechniczne, budownictwa okrętowego, rolnicze, handlowe itp.). Troje pozostało w domu. Pracuje.

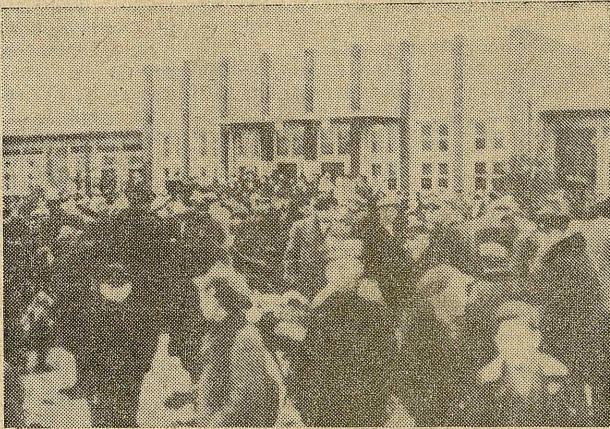
*

Co się dzieje w tym czasie (45—48) w Szkole Rolniczej?

W roku 1945 w lutym było 23 uczennice. Gospodarstwo zniszczone po działaniach wojennych. 22 ha ziemi bez konia, bez większych maszyn. Cały inwentarz ruchomy — żywy i martwy, to 3 dojne krowy, 4 cielaki i 2 świnię, drobny sprzęt rolniczy. Brak funduszy. Szkoła była samorządowa — a gmina miała dosyć innych kłopotów — między innymi udział w budowie gimnazjum i liceum ogólnokształcącego.



Dożynki w szkole rolniczej w Zduńskiej Dąbrowie



Początek roku szkolnego w Gimn. i Liceum Ogólnokształcącym w Zdunach

Do roku 1939 ukończyło ją około 600 dziewcząt.

W okresie wojny szkoła była czynna. Utrzymywała ją powstałe w 1939 r. Koło Przyjaciół Szkoły Rolniczej (rodzice uczniów, około 60 osób) — dając 25 kg pszenicy od osoby miesięcznie.

W okresie wojny szkołę kończy:

w r. 1940 —	33 uczennice
1941 —	40 uczennice
1942 —	80 uczennice
1943 —	106 uczennice
1944 —	104 uczennice.

Zmienia się jednak charakter szkoły:

1. pod płaszczykiem programu szkoły rolniczej przerabiała się materiał z zakresu szkoły średniej ogólnokształcącej;
 2. szkoła chroni młodzież przed wywozem na pracę do Niemiec (co zwiększa napływ młodzieży);
 3. 90% młodzieży to dzieci wysiedlonych z terenów przyłączonych do Rzeszy.
- Szkoła ma stałe kontakty z B. Ch., zajmując się sprowadzaniem z Warszawy i kolportażem po wsiach książek polskich autorów (Mickiewicz, Słowacki, Norwid, Żeromski, Świętochowski, Chałasiński), wysyła stale 30-50 paczek żywnościowych polskim jeńcom wojennym.

we wsi na stacji. Internat będzie oddany do użytku w roku 1949—50. Ale szkoła pracuje normalnie.

Latem 1947 r. wydano pierwsze matury 5 chłopcom (3 synowie robotników kolejowych, 1 syn gospodarza 17 ha, 1 syn gospodarza 10 ha). Ich dalsze losy? 3 studiuje medycynę, dwóch na Wyższej Szkole Handlowej (Warszawa i Łódź).

Latem 1948 r. Liceum wydało 12 matur — 8 dziewcząt i 4 chłopców. Pochodzenie społeczne tej młodzieży:

7 z gospodarstw 1—5 ha
2 z gospodarstw 10 ha
1 dziecko felczera
1 dziecko nauczyciela
1 dziecko krawcowej, wdowy po robotniku

Losy tej dwunastki:

2 studiuje rolnictwo
2 studiuje biologię
2 studiuje medycynę
1 studiuje farmację
1 studiuje na W.S.H.
2 pracuje (biura)
1 w wojsku
1 — nie wiadomo

Szkoła rolnicza musi być samowystarczalna.

Koszta utrzymania szkoły, internat, budynek, światło, opał, pomoce naukowe, inwestycje w gospodarstwo, to wszystko musi pokryć samo gospodarstwo (za utrzymanie młodzieży płaci — oblicza się miesięcznymi kosztami rzeczywiście produktów i gotowania). Młodzież w ramach praktyki pracuje w gospodarstwie (tylko 3 pracowników stałych).

W chwili obecnej gospodarstwo Szkoły Rolniczej posiada — inwentarz żywy: 4 krowy, 2 żrebaki, 7 krów dojnych, 2 jątówki, 3 cielaki, 27 świń, 100 kur; z większych maszyn: 1 traktor, 1 ciągnik i 1 traktor ogrodowy.

Zmienił się jednak charakter szkoły, a w związku z tym wzrosła liczba uczniów, zwiększając się potrzeby lokalu, gospodarstwa i finansowe.

W roku 1946—47 szkoła z 11-miesięcznej przekształca się w dwuletnią — czterosześcioletnią.

W roku 1947—48 w 3-letnią Szkołę Rolniczą.

Liczba uczennic:

1945-46 —	41 Niższa Szkoła Rolnicza
1946-47 —	40 Niższa Szkoła Rolnicza
1947-48 —	32 Średnia Szkoła Rolnicza.

W roku 1947—48 prowadzony był przy szkole Kurs Przygotowania do Liceum Gospodarstwa Wiejskiego, 2-letniego, (typu przedwojennego). Kurs ukończyło 12 uczennic. Poszły one do I klasy tegoż liceum, otworzonego w Zduńskiej Woli w roku 1948—49. Do drugiej klasy napłynęli uczniowie z innych liceów rolniczych i zawodowych (liceum koedukacyjne). Otworzono jednocześnie I klasę liceum rolniczego nowego typu (4- lub 5-letniego, po szkole powszechnej).

Ogólna liczba uczniów wzrosła z 44 w roku 47—48 — na 173 osoby w roku 1948—49.

Rok 1949 da pierwsze matury (14) Liceum G. W. w Zduńskiej Dąbrowie. Abiturienti do agronomów społeczni. Część z nich pójdzie na wyższe studia. Część do pracy w terenie. Być może do wytypowanych i zaczynających swoje życie w roku 1949—50 wsi spółdzielczych. Fundamenty tej szkoły, **niższej szkoły rolniczej**, zakładała kiedyś J. Dziubińska. Zakładała według programów „Pszczelina” (z pierwszych lat po 1900 roku). Szkoła uczyła obracać się z **korzyścią** na swoim. Uczeń własnym, wzorowym gospodarstwem miał dawać przykład „sąsiadom”. Do szkoły, jak praktyka wykazała, szli synowie zamożnych gospodarzy i z latami prawie w całości ją opanowali. Kapitał wiedzy pomnożył szanse kapitalistów wiejskich.

Nowi absolwenci liceum rolniczego pójdą do **społecznej pracy agrotechnicznej**. Do **społecznej produkcji rolnej**, w 40 lat od czasów „Pszczeliny” i „Zarania”.

W tym nieomal telegraficznym przeglądzie powstania i rozwoju gimnazjum i liceum ogólnokształcącego oraz rolniczego w gminie Bąków, w środowisku chłopskim i robotniczym, pragnęłam jedno osiągnąć: doprowadzić czytelnika przez wartki tok spontanicznych dziejów obu gimnazjów i liceów do **momentu wylotu — wylotu maturzystów**. W moim sprawozdaniu nie zniknęli oni nam z oczu. Koniec gimnazjum, koniec liceum, **ale nie koniec z naszymi bohaterami**.

Po pierwsze, widzicie, że się nie zmarnowali, nie rozplynęli, nie cofnęli. Są w szkołach zawodowych, są na wyższych uczelniach. Patrzą na nich „oko gminy” dotąd, patrzy teraz cała pracująca Polska. Po drugie — o co mi właśnie szło — Wy, szanowni czytelnicy, teraz myślcie: **a co z nich będzie „dalej”?** Inżynierowie rolnictwa, biolodzy, lekarze? Ale jacy? Technicy sprawni — oczywiście, to nieodzowne. Ale jak oni nabytą umiejętnością rozrządzą? Jak towaram? Kto da więcej? Choćby szło o chorych zagrożonych śmiercią?

Przedstawiłam przykładowo te dwie szkoły awansu chłopskiego, drogę do **przodownictwa w Polsce Ludowej**, ale nie poza nią i nie przeciw niej. Na tym przykładzie skupi uwagę „Wieś”. Pytamy imiennie każdego z maturzystów, ze Zdun, jak studiuje, jak dojrzuje do uczestnictwa w kadrach **przodowniczych Polski Ludowej**? Czekamy na odpowiedź.

Ale gimnazjów jest tysiące. Każda wieś, każde miasteczko jest zainteresowane swoimi. Instytucje, organizacje i te w rodzinnych stronach i te z terenu nowego pobytu szczeblującego w studiach mają prawo i mają obowiązek pytać: co z tobą chłopcze, co z tobą dziewczyno — pośle pokolenia? I niech pytają, pytajcie Czytelnicy!

Mieczysław Grad

Walka klasowa na wsi rzeszowskiej (V)

PIERWSZE STARCIE^{*)}

Kiedy po wojnie światowej i wojnie polsko-radzieckiej życie polityczne wsi W. poczęło „wracać do normy”, weszło ono natychmiast w łożysko wyżłobione w okresie przedwojennym. Ci sami ludzie, którzy wybili się na terenie Kółka Rolniczego, także teraz przewodzili wsi. Wprawdzie z ich grona ubył ów nauczyciel — założyciel Kółka w roku 1904, pełniąc bowiem w latach 1916—1919 obowiązki sekretarza gminy oskarżony został o nadużycia, jak zresztą ówczesny wójt, ósmiomorgowy zubożały kmięć. Obaj zostali usunięci z zajmowanych stanowisk. Nauczyciel zniknął niebawem z politycznego horyzontu wsi, przeniesiony służbowo w inne okolicie. Następca jego próbował go w roli reformatora wsi godnie zastępować, szybko wchodząc w krąg kółkowej elity.

Okres wojny wywarł potężny wpływ na ideologię polityczną wsi, na której czele szła kmięć czołówka. W latach 1914—1918 kmięć i część średniaków poczynili poważne postępy techniczne w swoich gospodarstwach. W tym to właśnie okresie względnej koniunktury dla galicyjskiego rolnictwa kmięć zapatrzywał się w kieraty i wirówki oraz posyłał dzieci do gimnazjum. Nigdy już potem aż po rok 1939 ze wsi W. do gimnazjum w Łańcucie nie uczęszczała tak wielka liczba kmięć i kmięć-średniaków, jak w okresie wojny.

Antyradziecka nagonka oficjalnej propagandy politycznej bezpośrednio po wojnie światowej utwierdziła kmięć i idącą za ich przewodem wieś w kapitalistycznej ideologii. O bolszewikach wieści we wsi chodzily wprost fantastyczne. Mówilo się nie tylko o tym, że znoszą własność prywatną, co przy całkowitym nierozumieniu socjalistycznej przebudowy ustroju siałoby strach nie tylko wśród kmięć i średniaków, ale i idących za nimi biedniaków, których liczba stale rosła, zbliża się po roku 1920 szybko do równie szybko rosnącej liczby średniaków. Biedniacy, którzy szli za kmięciami i średniakami a pod wpływem głównie ambony popadali w panikę, wyobrażali sobie bolszewików jako gorszych jeszcze od obszarników. Ci, to przynajmniej nie walczą z Bogiem, no i nie łakomią się na ten niedźny chłopski kawałek ziemi (wracający z frontu, chcąc zapewne ukazać się w aureoli bohaterstwa, mówili o wojnie bez pardonu, bez brania do niewoli po obu stronach). Tak oto rządząca wówczas w Polsce, po krótkim okresie Rządu Ludowego klasa feudalno-kapitalistyczna wykorzystywała chłopskie uczucia narodowe w interesie zachowania własnych folwarków i fabryk, zohydżając w oczach ludu bolszewicką rewolucję.

Kapitalistyczne wyobrażenia o awansie społecznym i „mit parceli” otrzymały ponadto nowy zastrzyk „amerykański”. Oto bowiem wróciła do wsi W. nowa i końcowa już, zatrzymana przez wojnę, fala reemigrantów ze Stanów Zjednoczonych. Ci dopiero przywieźli dolary! — zarobione w pracującym na całą parę przemysłu wojennym USA. Obok dolarów przywieźli również swolastą ideologię, już nie tyle religijną, co wyraźnie polityczną, mianowicie kult dla Paderewskiego.

Ale Paderewski nie był w stanie zagrozić autorytetowi przywódcy chłopskiego, jaki zdobył on już przed wojną. Cała wieś pod kmięcym przewodem zapatrzona była w Wi-



Współczesne wesele w okolicy W.

toś, który kilkakrotnie stawał na czele rządu.

W roku 1919 w wyborach do Sejmu Ustawodawczego wszystkie głosy we wsi W. (prócz trzech) padły na „Piast”. Witos to był „swoi chłop”, taki z wasami, w butach z cholewami i bez krawatki. Taki na pewno poprowadzi politykę w interesie chłopów. Witos miał tak wielki mir w całej wsi, że głoszący na „jedynekę” chętniej nazywali się sami witosowcami niż piastowcami. Kulminacyjny punkt wpływów Witosów we wsi W. przypada na rok 1921. Wtedy to powstało we wsi koło PSL Piast. Dotąd bowiem cała polityka odbywała się na terenie Kółka Rolniczego — organizacji partyjnej nie było. Piastowcy aktywni we wsi W. wyrósł oczywiście z aktywności kółkowej. Był on więc kmięć i kmięć-średniak w swej klasowej treści, ale do koła zapisywali się także biedniacy.

Tymczasem kmięciami, którzy przed wojną i w czasie wojny prowadzili Kółko Rolnicze, zrobiło się po wojnie trochę ciasno w kółkowych ramach. Toteż założyli oni spółkę kapitalistyczną, wydzierżawiając sklep Kółka Rolniczego. Rozbudowali przy tym wyszynk, który w związku z politycznym ożywieniem wsi począł się nieźle rozwijać.

Ruszyła także, na tej samej fali ideologicznej, a więc kmięć-kapitalistycznej — młodzież, po raz pierwszy w dziejach wsi W.!

Zaraz po wojnie „dawało się we znaki” całej wsi zdziwienie obyczajów związane z pozostałościami wojny. Jeżeli bowiem przed wojną młodzież (oczywiście męska, bo dziewczęta żyły w tradycyjnym kręgu rodzinnokuchennie-kościelnym) nie mając czym zabić czasu wolnego zwłaszcza w jesienno-zimowej wieczory i niedzielne popołudnia, dopuszczala się wybryków i różnych figli płatanych bądź sobie nawzajem, bądź też niektórym, nie lubianym we wsi gospodarzom, przy czym awantury i bójki toczono tradycyjnie z „kawalerką” wsi sąsiednich kończyły się zwykłym użyciem noża (takiego „świńskiego” — do zabijania świń w okresie Bożego Narodzenia czy też na Wielkanoc, który pakowało się zwykle przeciwnikowi między zębra lub za łopatkę) — to w końcowym okresie wojny i w pierwszych latach powojennych owa praktyka kawalerska przybrała formy naprawdę groźne. Szanujący się kawaler miał obowiązkowo broń palną w postaci tzw. „obrzynka”, czyli po prostu karabin z oberżniętą lufą (żeby było łatwiej schować pod kurtkę). Oczywiście broń „biała” była także w użyciu (owe „świńskie” noże zostały częścio-

wo wyparte przez bagnety) — ale tylko w walce wręcz. Natomiast obrzynki umożliwiały prowadzenie „wojny” na odległość. Zdarzało się nierzadko, że zwłaszcza w późny, niedzielny wieczór dochodziło do takiej strzelaniny, jak na prawdziwym froncie. Zdarzało się, że padał zabici i ranni. Takie wojny odbywały się najczęściej po pijanemu.

Wśród pewnej części młodzieży powstała myśl zaradzenia temu. Byli to głównie synowie kmięć, interesujący się pozytywną pracą swych ojców na terenie Kółka Rolniczego oraz synowie kmięć uczęszczający do gimnazjum. Ci ostatni nabierali powoli „miejskich” tzn. drobnoświeższych manier, zwłaszcza poprzez pobyt na „stancjach” w Łańcucie i tym bardziej stawali się wrażliwi na rozwydrzenie i dzikość obyczajów swoich braci i rówieśników. W ten sposób doszło do powstania we wsi W. Koła Amatorskiego jeszcze w roku 1920. Takie amatorskie zespoły pojawiły się w tym czasie i w sąsiednich wsiach. Wreszcie w rok później owo Koło Amatorskie przekształciło się w instytucję stałą pn. Koło Młodzieży i zostało wciągnięte do sieci kół młodzieży istniejących przy Małopolskim Towarzystwie Rolniczym z siedzibą w Krakowie. Tak więc w 15 lat od założenia we wsi W. Kółka Rolniczego powstał tam jego młodzieżowy odpowiednik.

O tym, żeby koło młodzieży we wsi W. było rzeczywiście odpowiednikiem Kółka Rolniczego i żeby tam, broń Boże, nie przypadało się coś niepożądanego, myśleli już panowie z krakowskiego MTR-u, którzy do W. przysyłał odpowiednie instrukcje, „apolityczne” książki i broszury, a przede wszystkim „sztuczki”, na które było wielkie zamówienie. Bo też istotną treścią pracy Koła Młodzieży było urządzanie „przedstawień”. Przedstawienia te rzeczywiście rozbudzały określone potrzeby kulturalne wsi, a jedną z głównych ich zdobyczy jest chyba to, że po raz pierwszy w historii dziewczęta w W. wyrwały się z owego zakletego kręgu domowego wchodząc do życia społecznego wsi (przedstawienia wymagały ich udziału). Ideologicznie ówczesnego Koła Młodzieży łatwo odczytać z samych tytułów wystawianych sztuk: „Wujaszek z Ameryki”, „Zrękowiny u Druzgały”, „Lustracja u pana wójty”, „Hanusia Krożanska”, „Dziesiąty pawilon”, „Żyd w beczce”, „Człowiek który redagował gazetę rolniczą”, „Cudowny doktor”, „Kominarz i młynarz”, „Marcin Łuba”. Okoliczność, że tego rodzaju działalności Koła Młodzieży patronował ówczesny kierownik szkoły, działający w duchu zaleceń swoich władz, kwalifikuje również jednoznacznie ideologię ówczesnej szkoły w W.

Owa harmonia we wsi W., w której pod egidą Piasta i MTR-u bezpośrednio po wojnie doszło do głosu wszystko to, co zamazywało różnice interesów klasowych wewnątrz samej wsi, niedługo przecież miała trwać. W roku 1920 we wsi było już tylko 11 rodzin kmięć, natomiast 100 średniaków, 75 biedniaków i 22 proletariackie. Tymczasem polityczny kurs wszystkich działających tam instytucji był kmięć-kapitalistyczny. Działalność polityczna kmięć, których liczba w porównaniu z r. 1900 zmniejszyła się 5 razy, odpowiadała ich sytuacji klasowo-ekonomicznej. Średniacy wyznawali kmięć ideologię z tej racji, że pochodząc na ogół z kmięć mieli w sobie żywe tradycje kmięce, zresztą zwykli byli z kmięciami powiązani rodowo, no i każdy z nich żył ambicją awansu — powrotu do klasy kmięcej. Natomiast biedniakom i proletariotowi został tylko „mit parceli”, który wiązał ich z kmięciami obok powiązań rodowo-kumotersko-patronackich. Biedniacy i proletariusze wyznawali faktycznie cudzą ideologię, która w ich sytuacji obiektywnej opierała się na złudzeniach, na niezdolności odczytania własnych interesów klasowych i realnych możliwości awansu społecznego.

Ale złudzeniami długo żyć nie można. Toteż autorytet Witosów tak silny zaraz po wojnie i w chwili zakładania we wsi koła PSL Piast wystawiony został na ciężką próbę w okresie trzykrotnych rządów przywódcy Piasta. W latach 1921—1926 rozwój sytuacji politycznej na terenie wsi W. przypominał akcję owej klasycznej greckiej tragedii: ilekroć Witos dochodził do władzy i im dłużej rządził, tym bliższy był przeznaczeniu, które we wsi W. miało go nieuchronnie dosięgnąć. Albo mówiąc słowami Manifestu Komuni-



„Przedstawienie” odegrane 24.VI.1926 r.

stycznego — im bliższy był szczytu własnych możliwości, tym bardziej stawał się grabieżcem swojego znaczenia. Sprzeczność interesów klasowych musiała w końcu zwyciężyć nawet tak wybitnego i popularnego przywódcę, jak Witos, ów „swoi chłop”, w butach z cholewami i bez krawatki.

Czego spodziewali się od Witosów średniacy, biedniacy i proletariusze we wsi W. — w okresie jego rządów? Przede wszystkim ziemi, której, za wyjątkiem kmięć, brakowało wszystkim (średniacy mieli ją wprawdzie w ilości na razie wystarczającej, ale przecież dorastały dzieci, którym groziło już działość). Powtóre — spodziewali się ukroczenia inflacji, która najbardziej godziła w żyjących z pracy ręk a nie mających produktów na sprzedaż. Po trzecie — oczekiwali oni uruchamiania zakładów przemysłowych i szkół, gdzie by mogli iść ci, dla których nie starczało we wsi ziemi.

Jeżeli inflację można było wytłumaczyć powojennym chaosem, którego uporządkowanie wymagać mogło paru lat, jeżeli nieobecność przemysłu i szkół w podobny sposób mogła być wyjaśniona — to w oczach podstawowej, średniacko-biedniackiej masy chłopów w W. odwiekane reformy rolnej niczym nie mogło być usprawiedliwione. Kiedy w dniu 7 lipca 1919 roku wskutek utracenia w Sejmie przez prawicę obszarńczo-kapitalistyczną wniosku, domagającego się, żeby górna granice posiadania ziemi określili na 300 morgów, Wincenty Witos w imieniu wszystkich stronnictw ludowych oświadczył, że ich posłowie nie weźmą udziału w dalszych obradach i rzeczywiście chłopskie posłowie opuścili wtedy salę sejmową śpiewając: „O cześć wam, panowie magnaci...” — przywódca „Piasta” cieszył się pełnym zaufaniem i poparciem całej wsi W. Kiedy ramowa ustawa o reformie rolnej uchwalona w dniu 10 lipca 1919 r. większością 1 głosu oczekiwała się wreszcie rozporządzenia wykonawczego w rok potem, w krytycznej chwili marszu Armii Czerwonej na Warszawę — można było jeszcze we wsi W. czekać, ażeby zobaczyć, jak to wykonanie wyglądać będzie w praktyce.

Kiedy jednak praktyka wykazała, że z kilkuset hektarów pobliskiego folwarku hr. Potockiego na parcelację przeznaczono jedynie kilkadziesiąt ha, które w dodatku dostały się w ręce tych, którzy mieli pieniądze, by za nie zapłacić (parcelacja z wykupu), jak na przykład jeden „Amerykanin”, który na nabytej w ten sposób ziemi założył duże kmięce gospodarstwo, kiedy zaledwie 4 kuczników zdołało nabyć po mordzie pola zadłużając się przy tym beznadziejnie w obliczu zwłaszcza nadchodzącej stabilizacji waluty i wprowadzenia w miejsce marek — złotego — stało się wreszcie we wsi W. rzeczą jasną, w czym interesie działa Wincenty Witos. Kiedy na dobitkę Witos w maju 1923 r. pojechał do Łanckorony zawierając tam oślawiony pakt z obszarńczym Związkiem Ludowo-Narodowym i z klerikalną Chrześcijańską Demokracją, a w parę dni potem utworzył rząd „chłeno-piasta” — dla średniaków, biedniaków i proletariotów z W., stało się zupełnie jasne to, o czym już w lutym 1920 r. pisał „Przyjaciel Ludu”:

„W dawnej Polsce rządzili tylko panowie szlachta przy pomocy księży, a w nowej Polsce mają przystąpić do owej spółki jeszcze i kmięcie piastowcy, czyli ma to być Polska szlachecko-księżo-kmięć podkreślenie moje — M. G.)”

We wsi zawrzało. Przeciwnicy Witosów nie ograniczali się do przypominania jego starych, jeszcze przedwojennych grzechów i napiętnowania konszachtów z obszarńkami i klerem. Wypominano „Piastowi” przede wszystkim obecność w jego kierownictwie różnych hrabiów — Reyów, Długoszków, Lasockich, Kędziórów, którzy, rzecz jasna, ciągnęli stronnictwo na prawo. Poza tym jednak oburzano się na różne nadużycia piastowców i piastowcowej administracji, głośnym echem odbiła się we wsi zwłaszcza „afera gołdizka” jeszcze w roku 1921²⁾ oraz dopięty skutek we wsi W. wykorzystania dla skompromitowania „Piasta”. Kto z antypia- stowcowej akcji we wsi W. przewodził? Przewodzili jej dwaj reemigranci z Ameryki a

¹⁾ „Przyjaciel Ludu” z dnia 15 lutego 1920 r.

²⁾ Informuje o niej szczegółowo Tadeusz Rek w „Ruchu Ludowym w Polsce”, wyd. II z 1947 r., t. II, str. 93 i 94.



Zlot Kół Młodzieży w Łańcucie 1922

Egon Erwin Kisch

POWÓDZ W KONOPISZTE*)

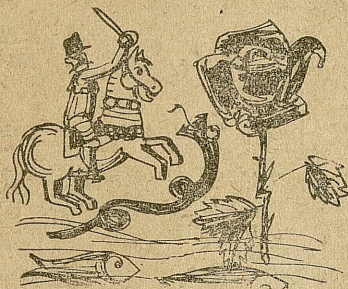
Ilustr. Karol Baraniecki

EGON ERWIN KISCH

ur. w 1885 r. w Pradze należał do najwybitniejszych pisarzy wojowników o sprawiedliwość społeczną. On właśnie był twórcą gatunku zwanego reportażem. Zwiędził niemal cały świat, który oglądał oczyma pisarza-revolucjonisty, służąc piórem sprawie proletariatu. Napisał książki o ZSRR, Chinach, USA, Meksyku, Australii. Po pęknięciu Reichstagu w 1933 wtrącony przez Hitlera do więzienia, wydostał się do Francji, stamtąd do Meksyku, skąd wrócił po zakończeniu wojny do Czechosłowacji. Zmarł w 1948 roku w Pradze.

Opowiadanie niniejsze pochodzi z tomu wspomnień z lat dziecińczych o Pradze pod zaborem monarchii austriackiej.

Na wieść o powodzi w okolicy Beneszowa, która pewnej niedzieli rozeszła się w Pradze, pojechałem tam. Beneszów zasługiwał na podroz, bo na zamku Konopiszte pod Beneszowem miał arcyksiążę Franciszek Ferdynand swoją, jak sądził, prowizoryczną rezydencję. Tam oczekiwał z nietęskną niecierpliwością na swe przeniesienie na zamek cesarski. Ale w owym wiedeńskim mieszkaniu siedział wcale wytrwały lokator, cesarz Franciszek Józef I i nie myślał zupełnie o opuszczeniu go.



Gdy syn jego, następca tronu Rudolf, zastrzelił się w 1880 roku w Mayerlingu, jego kuzyn Franciszek Ferdynand został następcą tronu austro-węgierskiego. Cesarz Franciszek Józef miał wtedy lat szesćdziesiąt i był ciężko chory, a nowy następca szykował się, aby wkrótce wstąpić na tron. Minął rok wyckiwania, minęło lat dziesięć, minęły dwa dziesięciolecia, czterdziecie, a gdy w roku 1914 strzalił w Serajewie zabijającego na spadek następcę tronu, spadkodawca Franciszek Józef wciąż jeszcze żył.

Wówczas gdy jechałem do Konopiszty, aby napisać o powodzi, czas wyckiwania Franciszka Ferdynanda osiągnął był swój osiemnasty rok. Wokół niego i jego zamku krążyły różne pogłoski, które wzbogaciły się własnie o mistyczną nutę: znakomity angielski badacz roślin został powołany do Konopiszty, by poprzez skrzyżowanie gatunku róża cieni i róża rugosa wyhodować gatunek czarnych róż. Zaledwie echa o próbach tych przedostały się do wiadomości publicznej, różni kasandryczni wieszczbiarze zwrócili się w listach do wydawcy „Times’a” z zapytaniem: czy nie wiadomo z historii Anglii, iż skoro zakwitnie czarna róża oznacza to, że zostanie popełnione morderstwo i po nim nastąpi wojna? A cóż dopiero, skoro zakwitnie ona w domu księcia, którego dloniom powierzono przyszłość Europy środkowej?

Na szczęście hodowca botanicznego zwiastruna nieszczęść uspokoił współczesnych: według teorii chromosomów, która opiera się na nauce Mendla o dziedziczności, przy krzyżowaniu dzikiej róży męskiej z dziką różą żeńską z każdego stu potomków dwadzieścia pięć jest białych jak tata, a dwadzieścia pięć różowo-czerwonych, zupełnie jak mama. Z pozostałych pięćdziesięciu, piętnaście najbardziej ciemnych zostaje poddanych stosunkom płciowym z tatą lub mamą, po czym piętnaście najciemniejszych z tego kazirodczego stosunku ponownie poddaje się stosunkom z ich rodzicami i dopiero po siedmiu latach może się narodzić gatunek o zupełnie czarnej pigmentacji. Według tego do lata 1914 roku los austriackiego następcy tronu jak i pokoju jest dla tych, co w takie przepowiednie wierzą, zapewniony.

Prawdopodobnie wydawca „Times’a” stanął wobec tego listu jak osioł Buridana, albo lepiej powiedziaławszy, Puritana. Z jednej strony nie mógł tę gorszącą historię o hodowli jednorodnej, która była wstępem do wyprodukowania mieszanców, podać swoim czytelnikom, z drugiej jednak strony oświadczenie botanika nadawało się do zapewnienia City i jej akcją stałości siedmiolecia.

Jak zwykle, decyzja między moralnością a gospodarką wypadła na korzyść drugiej. Opinię publiczną pouczono, że chromosomy nie kryją na razie w zanadru ani zamiarów mordu ani zapędów wojennych i nikt nie mógł wnioskować, że powódz pod Konopisztem jest wynikiem eksperymentów z różami. W istocie, w porównaniu z tym, co nastąpiło później, nie można jej było nawet nazwać katastrofą, a jeśli ją jednak tak nazwano, stało się to dlatego, że nikt nie znał rozmiarów nadciągających katastrof.

Pociąg, który mnie późnym wieczorem przywiozł na miejsce wydarzeń, był ostatnim. Wkrótce po jego przybyciu wody wezbrały na wysokości nasypu kolejowego Wlasim Beneszów i zalały szynę.

W Beneszowie zbadałem to, co można było zbadać. Na telegraficzny rozkaz następcy tronu ścignięto nawet z najdalejzych garnizonów okręgu wojsko i żandarmerię. Działalność żandarmerii polegała na konfiskowaniu ryb, które wypłynęły ze stawu następcy tro-

nu na drogę wiejską, gdzie „wieśniacy” je chwytały. Cesarsko-królewskie pułki pionierów miały usypać wał, który by chronił piwnice zamku przed zalewem.

W gospodzie hotelu „Pod Lwem”, gdzie notowałem moje spostrzeżenia, siedzieli ludzie, których twarze przeorane były rozpaczą. Gospodarz szepnął mi, że człowiek siedzący w kącie jest właścicielem zatopionych dóbr w Libesz. Milcząca, przynębiona rodzina u okna jest rodziną młynarza ze wsi Krupiczka; jego młyn, nieubezpieczony, spłonął w ubiegłym roku, za ostatnie oszczędności znów go wybudował, a teraz zalała i zniszczyła go woda.

Zapytasz, drogi czytelniku, gdyż jesteś z natury nieufny, jakim sposobem zapamiętałem do dnia dzisiejszego nazwy wsi czeskiej Libesz i Krupiczka. W rzeczywistości, gdyby mi ktoś wtedy w gościnnej izbie hotelu „Pod Lwem” przepowiedział, że po okresie dłuższym niż żywot ludzki będę z pamięci spisywał, że ów siedzący w kącie człowiek jest właścicielem dóbr w Libesz, a rodzina u okna rodziną młynarza z Krupiczki, to uważałbym takiego proroka za gadułę.

Czyż mogłem przeczuć, jak bardzo pełna była kronika ślepego Metodego? Całe lata później słyszałem go śpiewającego pieśń o powodzi ze strofami o właścicielu dóbr z Libesz i młynarzu z Krupiczki, który — tu głos ślepego Metodego wzbijał się skargą chóru żałobnego — nie był ubezpieczony.

Gospodarz i goście hotelu „Pod Lwem” opowiadali o straszliwych scenach. Powódz nastąpiła nocą. Mieszkańcy wsi pouciekali, za nimi biegle fale i ścigały ich. Fale zbiegały się nad dachami murowanych domów, zatapiały ludzi, konie i krowy, znosiły drewniane chaty, niszcząc zbiory zwiezione do stodoł jak i tamte na polach.

„A w zamku?” zapytałem.

W zamku? No, rozumie się, że park został także zalany, a grobla stawu zerwana. Ale samemu zamkowi nic się nie stało. Arcyksiążę pozostawał cały czas na miejscu.

Tymczasem zapadła noc i chciałem udać się do mego pokoju. Żandarm o zawziętej



twarzą, który w sieni wlewał w siebie piwo, był moim kapralem instruktorem z 11 pułku. Chciałem go wypytac, ale uprzedził mnie: „Powiedz pan, jako człowiek uczony będzie pan to wiedział — czemu to musimy tym biednym ludziom odbierać zdechłe ryby i odnosić je do zamku? Proszę, niech mi pan powie, co arcyksiążę robi ze zdechłymi rybami?”

Nie mogłem na to pytanie dać żadnej odpowiedzi. Wypiłem piwo z moim byłym nauczycielem musztry i położyłem się.

Na dworze grzmiało i błyskało i lało, wiatr gwałtownie uśmiał zerwać balkon mego pokoju, podczas gdy strumienie deszczu próbowały potłuc szyby. Wobec tego, że nie mogłem zasnąć, uporządkowałem fakty, które dotąd zebrałem. Dotyczyły one losu wieśniaków — byli bez chleba, bez dachu, bez środków. Ale nie zostawał tu przysłany, aby opisywać ich katastrofę. Dla gazety ważna była mała przykrość cesarskiego księcia, a nie wielkie nieszczęście kilkuset chłopów.

Komiczne było pytanie tego żandarma! Naprawdę, poco są arcyksiężu potrzebne te zdechłe ryby? Nie potrzebowałem jednak męczyć się odpowiedzią, bo o arcyksiążęciem rozkaz zbierania ryb i tak nie wolno mi było nie napisać, podobnie jak o ściąganiu wojska dla ochrony piwnic.

Choć byłem tak młodym dziennikarzem, miałem już za sobą pokazań ilość przemilczanych faktów, które wzrosły do bardzo wielkiej liczby, zanim się zestarzałem. Gdy moi koledzy chętnie się, że nigdy nie ograniczano ich w tym co pisali, że nigdy nie skreślono im nawet jednej myśli, jest to tylko dowodem, że z własnej woli obracają się w granicach cenzury, a sposób ich myślenia nigdy nie wybiera poza przepisową ideologię.

Z wielkich rozmiarów katastrofy pozostała mi do opisu jedynie mała część, mianowicie zamek przyszłego cesarza. Ale również i na to była cenzura, przede wszystkim w Pradze. Tam potrafił sobie następca tronu zapewnić poważne wpływy: szef policji politycznej, komisarz Chum, spowiednik z Konopiszty hrabia Galen, opat z Emmaus Alban Schachleitner i szef sztabu generalnego podpułkownik Alfred Redl byli jego mężami zaufania i robili katolicką i wielko-austriacką politykę po jego myśli. Także przywódca partii narodowo-socjalistycznej, dr Karol Swiha, znajdował się na żołdzie arcyksięcia, co było jeszcze wówczas tajemnicą, wkrótce jednak miało dać powód do skandalu.

O wszystkim, co pozostawało w związku z następcą tronu, czy to były złowroczne czarne róże, czy też sfalszowana płaskorzeźba św. Jerzego, którą pewien handlarz dzieł sztuki wkręcił arcyksiężu, prasa zagraniczna, wiedeńska i budapesteńska gazety rozpisywały się o tym szeroko, podczas gdy wpły-

wowi „przyjaciele naszego pisma” przekonywali naczelnego redaktora „Bohemi” o bezcelowości rozgłaszania tego. Gdy zaręczyny następcy tronu z czeską hrabianką Zofią Chotek interesowały świat, wolno nam było zaledwie przytoczyć dzieje domu choteckiego, nie podając ani ech zagranicznych, ani głosów wiedeńskiej prasy.

Największe nawet sprawozdanie z zamku zostanie jeszcze skrócone. Musiałem tu jednak dołożyć wszelkich starań. Następne dnia wynajęłem w Beneszowie dwukonkę oraz cylinder, aby pojechać do zamku. Jak należało oczekiwać, żandarmi stojący u bramy pozwolili pełni uszanowania przekroczyć ją panu, który wysiadł z arogancką miną i cylindrem na głowie. Niezatrzymany szedłem przez park.

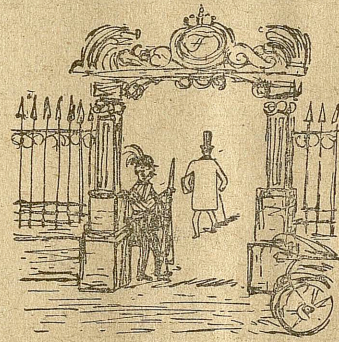
Podłużny, oddzielny budynek zawierał zbiory św. Jerzego. Od lat arcyksiążę skupował wizerunki świętego Jerzego, o ile nie pozwalał sobie składać w podarunku, gotyckie rzeźby w drzewie, liche gipsowe figurki, renesansowe malowidła i oleodruki, sztukę i knoty.

Ze następcą tronu identyfikował się z zabójcą smoka, wydawało się jasne, kogo miał jednak wyobrazić smok? Jaka zdobycz zadowoliłaby tego zapalonego myśliwego, któremu nie wystarczyło ustrzelenie tysięcy jeleni i saren?

Dopiero po śmierci podwójnej monarchii ukazały się listy następcy tronu, z których większość rozpoczynała się retorycznym zwrotem „przepraszam za ołówek”. Dowiedziałem się z nich, że smokiem było dla niego wszystko. W cholerycznym tonie pisał o kamaryli dworskiej, otaczającej Franciszka Józefa, która przeciwstawiła się jego małżeństwu i o bezwstydnym politykach i dziennikarzach, którzy się do tego wtrącaли. Węgrów ograniczających potęgę dynastii Habsburgów nazywał „kossuthową zgrają”, włoskich irredentystów „Katzelmacherami”, Serbów „gwałcicielami kóz” i wymyślał poza tym na masonów, Żydów, parlament i socjalistów.

Zajrzałem przez okno do tej niezwykłej kaplicy św. Jerzego. Woda nie zagasila ognia tryskającego z paszcz smoków i nie w obawie przed wzbierającą wodą świeci Jerzowie unosili się w strzemiach. Zanotowałem w dziennikarskim trybie warunkowym, że jeździec z koniem mógłby utonąć tylko wówczas, gdyby woda jeszcze wyżej wezbrała. Natomiast rosarium nie było nawet warunkowo zagrożone, szeroka drewniana brama była zamknięta i zdolna stawić czoła burzy wodnej, tak, że posępne kwiaty mogły spokojnie rozwijać się. Również słynny, beczecnej wartości zbiór broni był bezpieczny na górnych piętrach zamku.

Rozglądając się badawczo szedłem przez mokry park. Po drugiej stronie klombu w kształcie herbu stali dwaj panowie. W jednym rozpoznałem następcę tronu, drugi podszedł do mnie i zapytał, co tu robie. Odpowiedziałem mu, że jestem sprawozdawcą prasowym z Pragi. Pospieszył ku następcy tronu i wrócił do mnie, tym razem uszytywniony energią. Ostрым tonem, który przybrał od swego pana, oświadczył: „Ani słowa w prasie o zamku. Niech pan natychmiast opuści posiadłość”.



Wobec czego natychmiast opuściłem posiadłość. Stosowanie się do pierwszej części rozkazu nie było moją sprawą, o to już będą troszczyli się prasy meżowie zaufania Franciszka Ferdynanda.

Zaledwie nadałem z urzędu pocztowego w Beneszowie ostatnie słowo mego skąpego sprawozdania, rozległ się w słuchawce telefonu głos starego Hermanna Katza. Hermann Katz był członkiem naszej redakcji i jednocześnie praskim korespondentem wiedeńskiej „Neue Freie Presse”. Miał mi zakomunikować, że jeszcze dziś muszę podać bezpośrednio do „Neue Freie Presse” oryginalne sprawozdanie o skutkach powodzi na zamku, odmienne od tego, które właśnie dałem do Pragi.

Zanim zdołałem odpowiedzieć, Hermann Katz objawił mi uroczystym tonem, że pan Benedikt dowiadywał się, kto z „Bohemi” pojechał do Konopiszty i powiedział dosłownie: „Niech pan powie panu Kischowi, że to jest moje osobiste polecenie”.

De iure pan Benedikt nie mógł mi powierzyć żadnego polecenia. De iure nie miałem nic wspólnego z „Neue Freie Presse”, której wydawcą był Maurycy Benedikt. De facto jednak sprawa wyglądała inaczej. De facto powinność naszej redakcji było zwać na najbliższe skinienie Maurycego Benedikta. W przeciwnym bowiem razie mógł on wybrać swojego praskiego korespondenta ze sztabu redakcyjnego innej gazety. Wtedy straciłabym polityczne wiadomości, które Hermann Katz, jako przedstawiciel jednego austriackiego wielkiego dziennika wszędzie łatwo otrzymywał. Również powaga „Bohemi” wymagała, aby regularnie cytowano jej

polityczne poglądy zawarte w sprawozdaniach Hermanna Katza.

Poza tym jeszcze był Maurycy Benedikt osobieniem wpływów i potęg, jakkolwiek jego dziennikarskie jedynowładztwo poczyniło kruszeć. Liberalizm i austriacki centralizm, okres wolnego handlu dogorywały; wiedeńskie drobniomieszczanstwo zorganizowało się reakcyjnie, proletariatu socjalistyczne, narody podległe Austrii podważały hegemonię Niemców austriackich, a zwolennicy czasopisma „Die Fackel”, wydawanego przez satyrka Karola Krausa i zwróconego głównie przeciwko Maurycemu Benediktowi, stanowili fanatyczną wielotysieczną gminę.

Maurycy Benedikt nie przyjmował tego wszystkiego do wiadomości. Obecnie tak jak i dawniej, dziennik jego uchodził za biblię, on zaś za arcykapłana. Gdy jeden z jego sprawozdawców parlamentarnych podał mu pewną wiadomość i nadmienił, iż zobowiązał się pod przysięgą na razie jej nie ogłaszać, Maurycy Benedikt wstał, wyciągnął po kapłańsku ramiona i rzekł: „Oto zwołam pana z przysięgi”.

Starzy abonenci odnosili się do pisma niezmiennie tak, jak jego wydawca mógł sobie tego życzyć: przysięgali na każde słowo. Pisarz Artur Holtscher opowiadał mi kiedyś, jak rodzina wyrzekła go się, ponieważ poświęcił się literaturze zamiast zostać kupcem lub studiować. Listy do jego matki wracały nieotwierane, jego chęć zbliżenia się do roduństwa napotykała na najobrzydliwszy opór nawet wówczas, gdy osiągnął powodzenie swymi książkami i dramata. Tym bardziej był Artur Holtscher zdziwiony, gdy nagle otrzymał od swojej rodziny listy z prośbą o przebaczenie. Co się stało? Zdarzyło się, że „Neue Freie Presse” wymieniła jego nazwisko wśród znakomitości zebranych na jakiejś imprezie.

Opowiadał sobie w Wiedniu, że cesarz Franciszek Józef zapytał w czasie audyencji kompozytora Antona Brucknera, czy ma jakieś życzenie, na co Bruckner, zalany łzami, wykrzyknął: „Czy Wasza Cesarska Mość mógłby wstawić się za mną słówkiem, żeby pan Hanslick stał mnie nie ganił?”

Nie, tego cesarz nie mógł, tu cesarz tracił swoje prawa. A przecież Edward Hanslick był jedynie krytykiem muzycznym „Neue Freie Presse”.

Teodor Herzl, który miał wkrótce w obliczu zdumionego świata — dyskutować z cesarzem Niemiec przed bramami Jerozolimy nad projektem stałej żydowskiej siedziby w Palestynie, Teodor Herzl, który zabiegał o uregulowanie problemu żydowskiego na dworze sultana w Konstantynopolu i na dworze cara w Petersburgu, tenże Teodor Herzl sumiennie wpisywał do swego pamiętnika, jak go za każdym razem przyjmował wydawca „Neue Freie Presse”, szczęśliwy gdy tenże raczył z nim rozmawiać, nieszczęśliwy, gdy na jego ukłon chłodno tylko odpowiadał.

I oto ja, młody człowiek z prowincji, otrzymuję osobiste polecenie od samego Pontifex Maximus Benedictus, polecenie wypełnienia całej stronicy. Ta strona nie padnie ofiarą cenzury praskiej kliki arcyksiążęcej, bo niedawno rozegrała się między Franciszkiem Ferdynandem a Maurycem Benediktem walka, z której następca tronu wcale nie wyszedł zwycięzca.

W zaręczynach Franciszka Ferdynanda z hrabianką Chotek widział Maurycy Benedikt powód do przyszłych komplikacji w dziedzieniu tronu. Tylko publiczna, pod przysięgą potwierdzona rezygnacja z dziedzienia tronu przez żonę i potomstwo może uchronić Austrię przed powtórzeniem się wojny sukcesyjnej z czasów Marii Teresy. Rozumie się, że takiego poglądu nie wolno było wypowiedzieć otwarcie, ale Maurycy Benedikt mógł przecież szeroko cytować zagraniczne głosy prasy i przemówienia parlamentarne. Poza tym zamówił u słynnych prawników i historyków „ogólne”, „nieaktualne” artykuły na temat, czy małżonka cesarza, która zgodnie z habsburskimi prawami sukcesji nie jest cesarową Austrii, może mimo to być królową Węgier i Czech, oraz jakie skutki pociągnie to za sobą.

I choć kwestię tę traktowano uczenie i w oderwaniu od teraźniejszości, z wielkością i nie szczędząc gróźb odpowiadał organ



Franciszka Ferdynanda, chrześcijańsko-socjalna wiedeńska „Reichspost” i jej eksperci, przeważnie wyżsi duchowni zaatakowali Maurycego Benedikta osobiście z nienawiścią zgola nieduchowną.

Arcyksiążę mógł poślubić hrabiankę Chotek, ale przed ślubem musiał przysiąc, że rezygnuje z tytułu cesarzowej i królowej dla swojej żony i z następstwa tronu dla swych przyszłych dzieci. Tę przysięgę mógł Maurycy Benedikt zaksiegować jako swój sukces, ale był to sukces, za który Franciszek Fer-

*) Z tomu „Jarmark sensacji”, który ukazuje się nakładem Prasy Wojskowej w tłumaczeniu Stanisława Wygodzkiego.

dynand po wstąpieniu na tron odpiąłby mu gorzko.

Narazie Maurycy Benedikt był tym, który stał u władzy, a ja byłem dziś tu z jego polecenia. W cylindrze pojechałem dwukonka po raz drugi do zanku. Warta ponownie pozwoliła mi przejść, co było mniej zadziwiające niż za pierwszym razem, bo teraz odbijała się z pewnością na mojej twarzy duma, że jestem pełnomocnikiem wielkiego dzielnika.

Z drzew kapał deszcz na mój cylinder, kałuże opryskiwały mnie, ja jednak nie zważałem na to, byłem całkowicie zajęty gromadzeniem wrażeń. Moje sprawozdanie miało być sprawozdaniem, jakiegoś nawet najstarszym abonament „Neue Freie Presse” nie zdarzyło się czytać.

Szedłem wzdłuż brzegu wezbranego stawu rybnego. Brzeg przestał być brzegiem, nogi miałem w glinie, a głowę na Parnasie. Tworzyłem dla Maurycego Benedikta, który cze-

kał na moje sprawozdanie, tworzyłem przeciwko arcyksięciu Franciszkowi Ferdynandowi.

Wielokrotnie św. Jerzemu chcę dać jednolite rysy, opisać jego młodzieńczość, smukłą postać i gładką twarz, a jego wzrok pozwolił odgadnąć, jak odległa była mu dotąd myśl zabicia zwierzęcia... jednym słowem wydobędzie to wszystko, co podkreśla różnicę między rycerzem Jerzym, a grubym, wąsatym, namiętnie polującym panem zamku. Uśmiechając się złośliwie postanawiam pisać o kształtnych figurach gipsowych i ładnych oleodrukach, wyobrażających świętego Jerzego.

Tym razem szeroka drewniana brama rosarium była otwarta. Właśnie wjeżdżały dwie łaczki pełne ryb.

„Dla rosarium?” — spytałem pomocnika ogrodnika.

„Tak, nawozimy zawsze resztkami, a przy

okazji również zdechłymi rybami. Jednak tak drogie i tak wiele naraz jeszcześmy nigdy nie mieli!”

Godny nawóz, myślałem w duchu, godny nawóz pod czarną różę: martwe ryby wyrwane głodnym ludziom. Tego jednak nie wolno mi nawet w Wiedniu powiedzieć. Ale nawet i bez nawozu zakwitnie w moim sprawozdaniu czarna róża, złowroźna roślina wśród wesołych, jasnych kwiatów pokoju i radości.

Wszedłem na nasyp. W środku nasyp został przetrwany, mogę posunąć się tylko do trzymetrowej wyrwy. U moich stóp szaleje wir, jakby płynne szpony chciały pochwytać resztki kamienną przeszko, aby ją zerwać. Gdy się odwracam i robię panoramiczne notatki, ktoś ukazuje się po drugiej stronie wyrwy. Arcyksiążę!

— Niesłychane! Przecież kazałem panu po-

wiedzieć, nie znoję, aby coś o zamku do stało się do gazet — krzyczy.

Z jego zrenie błyskawia groźby, które znają swoje działanie. Ale tracą swą moc w stosunku do mnie, bo zostałem tu przystany przez kogoś wyższego. Ponad przepaścią rozbrzmiewa moja odpowiedź: „Cesarska Wysockości, o tym co ma się ukazać w „Neue Freie Presse”, nikt inny nie decyduje...”

Przy słowie „Neue Freie Presse” staje się czerwony jak indyk, jego palce zaciskają się, jakby chciały kogoś udusić.

„...nikt inny nie decyduje, tylko pan Maurycy Benedikt.”

Z tymi słowami odwracam się od spadkobiercy wielkiego państwa i niezerwaną częścią zerwanej grobli zmierzam w kierunku bramy.

Egon Erwin Kisch

Mieczysław Bodalski

Współzawodnictwo pracy w rolnictwie^{*)}

Ruch współzawodnictwa pracy w rolnictwie, tak jak ruch współzawodnictwa w przemyśle, nie jest tylko zwykłą sprawą zwiększenia wydajności pracy i uzyskania lepszych wyników w produkcji.

Jest to u nas ruch nowy, jak nowym jest ustrój demokracji ludowej, który budujemy.

Stawia on sobie za zadanie zmianę starych form gospodarowania, związanych z ustrojem kapitalistycznym.

Przeprowadzenie bowiem reformy rolnej i przejście na własność Państwa ciężkiego i średniego przemysłu pozwala chłopu nie tylko otrząsnąć się z konserwatyzmu i odrętwienia, ale jako współgospodarzowi dziś kraju pozwala na stworzenie nowych warunków pracy, jakich nie dawał i nie mógł dać ustrój kapitalistyczny.

Ze smutnych resztek ustroju kapitalistycznego pozostał jeszcze u nas na wsi wzór „dobrego gospodarza” w postaci kapitalisty wiejskiego.

Ale dlatego zadaniem zapoczątkowanego współzawodnictwa w rolnictwie jest rozbudzenie fachowej ambicji mało- i średniorolnych chłopów, by zbiorowym wysiłkiem wypracować lepsze i bardziej doskonale wzory gospodarowania, by w tej masowej akcji wyrastali nowi ludzie — nowi aktywni społecznie i fachowcy — nowi lepsi gospodarze.

Przyczyną rozwoju współzawodnictwa w rolnictwie jest przede wszystkim to, że mało i średniorolny chłop na wsi, że robotnik w majątku państwowym pracuje i rozwija produkcję nie dla obszarnika, a dla odbudowy Polski nie kapitalistycznej, a ludowej, oraz dla siebie i dla swojej rodziny. Chłop wie, że produkty jego pracy doprowadzi do robotnika w mieście w uczciwy sposób spółdzielczość, jak również, że spółdzielczość Samopomocy Chłopskiej bez pośrednictwa spekulantów i wyzyskiwaczy doprowadzi do chłopu nawozy sztuczne, maszyny rolnicze i inne potrzebne towary.

Ten ruch przynosi polepszenie sytuacji materialnej chłopów. Przez współzawodnictwo coraz bardziej zaciskają się więzy współpracy i współdziałania ze sobą mało- i średniorolnych chłopów na wsi.

Ruch współzawodnictwa w rolnictwie rozwijał się w walce z reakcją, w walce z szep-

ną propagandą, która głosiła, że rzekomo współzawodnictwo zmierza do tego, by człowieka wyeksploatować, uczynić dodatkiem do maszyny.

Przykład Psrowskiego, Bugdół, Zielińskich i Krajewskich oraz całych setek innych bohaterów na froncie odbudowy kraju, to odpowiedź na pytanie, dlaczego wykonujemy plany produkcji przed terminem i co stanowi dźwignię dla podniesienia na wyższy poziom organizacji naszego przemysłu i rolnictwa i całej naszej gospodarki narodowej? Odpowiedź jest to, że ludzie ci są wolni od konserwatyzmu i uprzedzeń niektórych inżynierów, techników i pracowników gospodarczych; ludzie ci idą naprzód, krusząc stare normy techniczne, udoskonalają produkcję, wnoszą szereg nowych pomysłów, ulepszeń i wynalazków, pechają naprzód inżynierów i wynalazców, budzą w nich inicjatywę i likwidują różnicę między pracą umysłową a fizyczną.

Mówiąc o współzawodnictwie w rolnictwie, które łamie stare normy wydajności z ha, które przez zastosowanie maszyn obniża koszty produkcji rolniczej — należy chociaż krótko wspomnieć o teorii ekonomistów kapitalistycznych i zestawiać ich teorię z naszymi osiągnięciami.

Żyjący w XIX wieku angielski profesor ekonomii politycznej Tomasz Malthus dowodził, że „bezrobocie i niedza powstają nie na skutek kapitalistycznego wyzysku, lecz na skutek tego, iż przyrost ludności wzrasta szybciej, niż środki utrzymania” i stąd wniosek, że — „bogaci nie mogą dostarczyć biednym pracy i żywienia, a biedni nie mają prawa od nich tego żądać”.

Jeden ze współtwórców kapitalistycznego prawa zmniejszającej się wydajności gleby — tak pisze: „Skąpstwo przyrody, a nie niesprawiedliwość społeczna stanowią przyczynę cierpień, jakie naród przy przeludnieniu przeżywać musi”.

Z takiej teorii wypływa wniosek, że „jeżeli w społeczeństwie panuje głód i niedza, to nie jest temu winien kapitalista, lecz ziemia winna, bo wyżywić ludzi nie może”.

Jakże marną wydaje się dziś ta nauka, jeżeli ją zestawimy dla przykładu z rozwojem rolnictwa Związku Radzieckiego:

W Rosji carskiej do r. 1913 średni roczny udój nie przekraczał 800 kg mleka od jednej krowy, a w Związku Radzieckim w r. 1947

norma przeciętna wynosiła ok. 2.000 kg mleka od jednej krowy.

Zbiór buraka cukrowego wynosił w 1913 r. przeciętnie 168 q z ha, już w 1936 r. wynosił około 210 q z ha, a w 100 zbiorowych sekcjach rolnych otrzymano zbiór powyżej 500 q z ha.

W r. 1913 przeciętny zbiór zbóż ciężkich wynosił w Rosji 7,3 q z ha, a w r. 1940 przeciętna wydajność z ha wynosiła 12 q.

Okolo 80% światowej produkcji lnu koncentruje się w Związku Radzieckim. Do rewolucji rodzina chłopska zużywała na obróbkę jednego ha lnu 115 dni pracy, a w 1939 r. — 90 proc. kołchozów, uprawiających len, przy zastowaniu stacji maszynowo — traktorowych, zużywało tylko 42 dniówek ludzkich na obróbkę jednego ha lnu.

A jak wyglądają praktycznie nasze osiągnięcia?

Dzięki współzawodnictwu chłopów województwa krakowskiego w r. 1943 14-krotnie przekroczone nakreślony plan bloków nasienych; zamiast 300 ha objęto akcją bloków nasienych 4.431 ha.

Chłopi województwa kieleckiego, zamiast 440 ha osiągnęli przeszło 2.000 ha.

Chłopi w województwie olsztyńskim zaplanowali zlikwidować w r. 1943 123.000 ha odłogów, a zlikwidowali, dzięki współzawodnictwu, 205.857 ha.

Województwo gdańskie planowało 20.000 ha, zlikwidowało 24.000 ha odłogów.

Wojew. szczecińskie zlikwidowało 237.000 ha odłogów, co stanowi 117% planu i wojew. rzeszowskie, planując 68.000 ha w r. 1943, już 30 czerwca r. b. zlikwidowało 70.019 ha odłogów.

Na 3.169 gromad administracyjnych w woj. kieleckim w 3.000 gromad zostały zorganizowane gromadzkie komisje współzawodnictwa pracy. Na 1.494 gromad w wojew. rzeszowskim zorganizowano 1.300 komisji współzawodnictwa; w wojew. krakowskim na 1.919 utworzono 1.376 komisji; w wojew. olsztyńskim na 1.638 gromad — 1.134 komisji; w woj. bydgoskim na 2.392 gromad — 2.078 komisji współzawodnictwa oraz 3.106 komisji współzawodnictwa na 4.533 gromad w wojew. poznańskim.

Dzięki współzawodnictwu i pomocy sąsiedkiej została wiosną roku bieżącego zwiększona ilość siewu rzędowego.

Dzięki współzawodnictwu został wykonany plan kontraktowania roślin przemysłowych, a w niektórych wypadkach nawet przekroczony, jak na przykład — w wojew. bydgoskim, szczecińskim, wrocławskim.

Została zwiększona i przekroczona w stosunku do planu sieć ośrodków maszynowych: planowano 15.000 ośrodków maszynowych w 1948 r., a zorganizowano 1.578.

Została także zorganizowana większość zrzeszeń branżowych. Zadaniem i jednym z węzłowych tematów współzawodnictwa na rok 1949 musi być umasowienie zrzeszeń branżowych wśród mało i średniorolnych chłopów.

Wzmogła się także akcja dostaw mleka i jaj. W akcji tej przodują dotychczas województwa: krakowskie, rzeszowskie, kieleckie i łódzkie.

Na wyniki dotychczasowej akcji współzawodnictwa złożyły się z jednej strony pomoc i kontrola zarządów terenowych Z. S. Ch. i personelu fachowego, a z drugiej strony — współpraca w tej akcji z partiami politycznymi i organizacjami młodzieżowymi. Tam, gdzie były aktywne zarządy kół gromadzkich, gdzie był aktywny personel zarządów powiatowych i gminnych i gdzie były zorganizowane komisje współzawodnictwa, które usładowały na zebraniach ogół rolników o akcji współzawodnictwa — tam wyniki bezwzględnie były lepsze.

Dziś jeszcze ruch współzawodnictwa w rolnictwie nie objął wszystkich gmin i gromad, jeszcze w wielu wypadkach nie był zorganizowany właściwie, jeszcze sprawozdawczość, dzielenie się metodami i doświadczeniami między zespołami nie zawsze miało miejsce. Ale niewątpliwie w 1949 roku wyciągniemy z tegorocznych doświadczeń wszystkie wnioski, by ruch współzawodnictwa w rolnictwie umasowić, otoczyć kontrolą i opieką, by dzielić się w czasie trwania doświadczeniami i metodami, dzięki którym osiągnięto wysokie plony.

Bo zapoczątkowany ruch współzawodnictwa na wsi reprezentuje przyszłość naszego rolnictwa, zawiera w sobie ziarno przyszłego kulturalno-technicznego rozwoju wsi i otwiera przed nami drogę, na której można osiągnąć najwyższe wskaźniki wydajności plonów i poprawić byt materialny niezamożnych chłopów.

Józef Mezga

Rymowany alarm w sprawie Godzianowa

Okazuje się jednak, że nasz strażak artykułem „Przedsiębiorcy — działacze wsi” (drukowanym w 42 nr tyg. „Wies”) w Godzianów był więcej niż trafny. Od momentu, kiedy został przeczytany przez pierwszego Godzianowiaka rozpoczął się ferment. Widać wyraźny niepokój, sprzeciły, hulaśliwie kłótnie, złorzeczenia i obelżywe wykrzykniki.

W pierwszej chwili nie wiadomo kto wśród godzianowiaków wróg, a kto obcy, kto chce dobrze, kto źle. Ludzie się wzajem oglądają i oceniają jakby się pierwszy raz widzieli. Niby w żartach oceniają, kto jest „przedsiębiorca”, kto „doróżkarzem” (średniak jadący na własnym wózku bez konieczności korzystania z pomocy i usług innych) i wreszcie, kto jest dziadem. Dziadem oczywiście nikt by nie chciał być i nie śmie spojrzeć otwarcie w najbliższą swoją przyszłość i przyszłość swoich dzieci. Wstydy się być dziadem jakby na to najzupełniej zasłużył, jakby to była jego wina.

Taki choćby Meszka Witek z „górk”, Waleś Kowara, Franek Kowara, Bolek Meszka czy wielu innych, czyż nie są gospodarzami? No, oczywiście są. Więcej przecież mają niż ja. Moga „śmiało” stawiać o lepsze z Rybusem czy Sołtyśzewskim. Ktoś by mógł powiedzieć, że Rybus i Sołtyśzewscy też nie są winni, że takie mają „urodzenie”.

— A całkowitej równości „nigdy” nie było i nie będzie. Nauki takiej nastuchaliśmy się bardzo wiele. O władzy pochodzącej od Boga, o wyższym i niższym stanie, o ludziach z krwią błękitną i zwyczajną — zwierzęcą itp. Są to stare piosenki, na które się już mało ludzi daje obecnie nabierać.

Bitwa się rozpoczęła. Nie wiadomo może jeszcze o co, ale — jest. Może na razie ukryta — niezbyt widoczna, ale już stumieć się nie da. Dotąd, panowie przedsiębiorcy, trwało wasze rzadostwo i w głowach wam się nie mogło pomieścić, by ktoś śmiał się temu przeciwstawić — oderwać, zaprzestować.

Na głos taki wystarczyło milczenie lub ironiczny uśmiech. Byliście pewni, że nikt takiego puszczyka nie ośmieli się poprzec. Zawsze panowali na zebraniach „zgoda” i „jedność”. Ponura to jedność.

Ukrywaliście przed wszystkimi to, że tej jedności nie ma i być nie może, bo nie ma równości. Wiedzieliście z góry, że Meszki, Kowary, Maraty nigdy wam nie dorównają. Twierdziście, że każdy, kto pracuje i „stara” się, to może się mieć tak dobrze jak wy. Okłamywaliście wszystkich i samych siebie. Przypisywaliście wszystkim biedę, niedbalstwu, lenistwu, warcholstwu itp. Nie potrafiliście znaleźć przez dziesiątki lat nikogo spośród dwustu gospodarstw w Godzianowie, kto byłby godny was zastąpić. Nie było nikogo, bo nikt nie chciał. Wolał, według was, pić bimber i warchol. Jeżeli ktoś próbował coś zrobić, a nie go dził się z wami „pasować”, to z góry został skazany. Nie pozwoliliście mu nawet rozwinąć skrzydeł. Nie potrzebuje chyba przypominać wam ostatnich szacherek personalnych w Spółdzielni Samopomocy Chłopskiej.

Artykuł nasz spowodował ferment i ataki — „zmobilizował” was do walki.

Bije w niego „Nauczycielka” („Wies” nr 46) mająca o mnie „dużo” wiadomości i zrecznie wplata między problemy — strza-

ły natury osobistej, (zapewniam, że bardzo niecelne), bije Rybus Wacław z Bochenia (podobno młody chłopak), („Wies” nr 47) po raz drugi „poprawia” „Nauczycielka” („Wies” nr 49). W Godzianowie, Zapadach, Lipcach, Woli-Drzewieckiej, Gluchowie, Bocheniu i w szeregu innych wsiach całej Polski „szumi”. Chłopi patrzą po sobie, szukają sprzymierzeńców, rozpoznają swoich faktycznych wrogów.

Dziady i „doróżkarze” poczynają podnosić rogi. Ale dotychczasowi „rządcy” nie rezygnują; bo z takich pozycji łatwo się nie schodzi. Taka przegrana, to nie jest wieczorowa przegrana w „oczko”. Tu już się bracie nie odegrasz. Dlatego też „przedsiębiorcy” bronią się przemyślnie. Sięgają do arsenału starych, wypróbowanych form walki.

Przyjrzyjmy się jednej z nich. Od niedawna kursuje po Godzianowie w iluś tam egzemplarzach wiersz-list, wydrukowany w całości w dzisiejszym n-rze „Wsi” (patrz str. 4) poświęcony mojej skromnej osobie. Wielki to dla mnie zaszczyt, że jestem przedmiotem zainteresowań pewnej grupy godzianowskich gospodarzy. Bardzo się cieszę, że stawiają mnie nie po swojej stronie. Na to zgoda. A że nie liczyli mnie nigdy za sprzymierzeńcą, świadczy o tym najwyraźniej ten właśnie wierszowany anonim.

Jestem z tymi „lichszymi” — „najgłupsimi najleniwsimi, nierobymi, bimbrarzem” — jak nazywała ich w poprzednim n-rze „Wsi” p. „Nauczycielka” — ze „śtamowcami”!

Nie trzeba chyba tego specjalnie wytłuszczać. A dlaczego z nimi? No, bo do nich mnie zawsze zaliczali i wcale się tego nie wstydzę. Właśnie do tych najgorszych „nie-

robów”. Nie byłem i nie chciałem być nigdy pupilem „działaczy” i dlatego tak ich to irytowało.

Autor owego wiersza-listu nie ma odwagi podpisać się pod nim. Podpisuje symbolicznie — „Stanowice”. Nazwijmy go więc dla ułatwienia pan S. Szanowny pan obywatel S. zdaje sobie na pewno sprawę, że ja wiem kto to takie piękne wiersze pisał. Wiedzą i domyślają się Godzianowscy i godzianowscy parafianie. Wiedzieć będą również wszyscy ci, którzy ten „utwór” przeczytają, gdyż powie im o tym treść w nim zawarta.

— Jest to na pewno jeden z obozu „przedsiębiorców” — powiedzą. I nie będą się mylić.

Bijąc w częstochowskie dzwony na alarm (bo aż z Jasnej Góry nadany został na pocztę ten list) przemawia w imieniu wszystkich („poszczególnych, zrzeszonych i owakich”), choć wątpliwe, czy ma do tego od wszystkich upoważnienie. Nie chce się wierzyć, by dał mu na to zezwolenie np. Kowara Stefan, który wrył się swoją chatką w gliniastą górkę przycmentarną i drażni tym prawego posiadacza gruntu, czy też Kazik Zbudniwiek, który przyzenił się na pięciomorgowe „gospodarstwo” (przypadające na pięciu dorosłych szwagrow) i goni teraz światem, żeby zarobić na chleb.

Domniemany autor konkretyzuje w pewnym miejscu wyraźnie swój obóz. Powiada bowiem — „Niech sądu nie dają sztabakimiedzarze!” Po tej wypowiedzi nie trudno się domyśleć skąd pada strzał.

Wiadomo kogo boli akcja sztabaków, którzy w niełatwych warunkach ukończywszy

szkołę średnią nie chcą zerwać ze swym środowiskiem.

Godzianowski poeta nie chce się na to zgodzić, na sądy takich „zwyradniałców”, którzy kalają uwięte przez przedsiębiorców kulacko-kapitałistyczne gniazdo. Tym bardziej nie wolno dopuścić sądu nędzarzy. Boć jakież to wtedy będzie porządek? Kto pójdzie na służbę i na „wyrówek”, gdy ci wszyscy zechcą rządzić w Godzianowie (Boże, Boże!). Zburzy się cały porządek, a może nawet świat się zawali. Dlatego też nie wolno dopuścić, by sądy dawali „sztubaki, nędzarze”.

Popatrzmy na wiersz i spróbujmy wyłowić co boli szanownego pana S.:

1. że „syn wsi” uczył się i basta,
2. że on i jego żona skończyli uniwersytet ludowy w Gaci,
3. że w przedwojennym kole Wici pomstował na pańszczyznę, szlachtę i księży z całą prawicą,
4. że po okupacji ukończył szkołę „splunął w starą kilkę, kopnął endeke i „serce nowoczesne przybrał ludowe”.
5. że płodził o rywalach artykuły,
6. że stosunki w Godzianowie w sześciolletnim planie chce przynajmniej „przewieńczyć”,
7. że wsiowe gniazdo w niesprawiedliwy sposób rozstawia w kąty.

Panie przeciwniku! Ja się od tych zarzutów nie uchylam. Ja nawet dziękuję Panu za ich sformułowanie, które jest uznaniem dla mojej skromnej pracy w Godzianowie.

Dajmy zresztą temu spokój, bo przecież nie o mnie tu chodzi. Ja — pan dobrze to wie — nie jestem sam. Nas jest gromada, która ciągle wzrasta. Dzieje się to w całej Polsce. Dzięki temu — rozumie pan Obywatelu S. — ośmieliłem się ja i niejeden już parobek (zawodowe pańskie popychadło) i bezrobotny i kilkumorgowiec i dziesiąty i setny uderzyć w stary porządek i podważyć wasze „prawa” kierowania wsią. Boli pana jakiś tam nędzarz wydziedziczony z ziemi, który nie poszedł do miasta szukać chleba, tylko pozostał tu w Godzianowie i referując „osławioną pańszczyznę” i wyzysk podgryzał korzenie pańskiej słodkiej egzystencji, że cały szereg innych nędzarzy śmie uczyć się i wypowiadać sądy o starym porządku na wsi?

Zapewne i to pana boli, że ścignęli do Godzianowa szkołę średnią, z której może korzystać coraz większa gromada im podobnych. Pani „Nauczycielka” jakoś nie sprostowała tego „szczegółu” w Godzianowie, który przecież nie był bynajmniej osiągnięciem „przedsiębiorców”, a który tak skrzętnie im przypisuje.

Boli pana dążność do zmian na wsi. Nie widzi pan panie S., że w Godzianowie, Zapadach, Lipcach, Woli, gospodarstwa się rozpadają, dzielą, biednieją, że stworzyła się przez to perspektywa coraz większej nędzy, która — ale pan tego nie chce dostrzec — nie omędląaby kiedyś i pana dzieci. Pan to traktuje tylko dniem dzisiejszym. Im więcej nędzy tym tańszy służący. Byłe dłuższe spokojnie żyć. To jest wasza postawa, postawa wszystkich „przedsiębiorców wsi”.

Boli pana fakt, że gospodarskie Koło Młodz. Wiejsk. w czasie „rewolucji młodzieżowej” (1928 r.) przeszło do Wici. Boli pana fakt, że ten spokojny klub elity chłopskiej, w którym pan i panu podobni tak miło i beztrudnie spędzaliście czas, zarazem został duchem „komunizmu” i stał się źródłem wywrotowych nastrojów. I to tuż pod samym kościołem... Pan oczywiście chciał w kole widzieć salonik towarzyski i dlatego nie pana nie obchodził fakt rządzenia dziedziców w kółkach rolniczych, w różnych centralach spółdzielczych, dziedziców, którzy razem z pomniejszych członkami różnych kółek i zarządów w Godzianowie, Bocheniach itp. składali całą polską wsię w holdzie ustrojowi kapitalistycznemu.

Panu te dawne i obecne „awantury” nie podobają się. Pan chciałby zapewne wmówić wszystkim, by każdego ranka i wieczora wymawiali jak modlitwę, za którymś z bohaterów Wyspiańskiego: „Niech na całym świecie wojna, byle polska wies spokojna”. Nie, panowie przegrani! My na wsi kończymy rewolucję, zmieniamy tradycyjne, krzywdzące nas porządki. My swoją działalnością nie przypominamy ptaka, jak to o nas w Godzianowie mówicie, który kalał swe własne gniazdo. My, rozumie pan, to gniazdo przyciszmy. I w akcji tej nie ustaniemy. Przepraszam kogoś nie myślmy, a że panom ten „wiaterek nie służy do twarzy”, to tym gorzej dla panów.

Bronicie się panowie przed klęską. Sposobów chwytacie się i będzicie się jeszcze chwytali różnych. Jesteśmy na to przygotowani. Między innymi spotykamy i tę metodę — metodę poddania jednostki pod pręgierz parafialno-familijnej opinii. Przyznać trzeba, że to nienajgorsza metoda. Miała ona niesłychaną siłę w tradycyjnym, dawnym życiu wiejskim, ale posiada ją jeszcze i dziś, szczególnie wśród osób waszego typu. Nowe siły — śtamowcy — rozumiejąc swoją nową rolę w nowej wsi nowego ustroju, nie przyjmują, zdaje się, oskarżenia według waszych życzeń. I dlatego panie obywatelu S. tym razem chyba się pan zawiedzie. Chciał pan za jednym rymownym zamachem zdmuchnąć całe nowe pokolenie, ale ma pan na to bezwzględnie za słaby „chuch”.

Józef Mozga

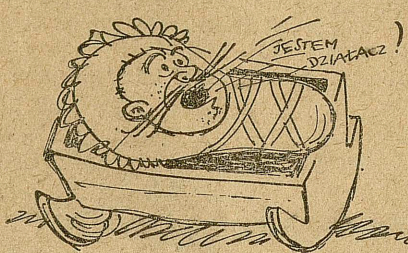
Jan Jelonek

„DZIAŁACZEM TRZEBA SIĘ URODZIĆ”

W

47 numerze tyg. „Wiś” zaobserwowałem niezmiernie ciekawą dyskusję w artykule pt. „Młody działacz” oraz w wyjaśnieniu redakcyjnym.

Otóż mnie się wydaje, że działacz społeczny na wsi nie uzyskuje swojej pozycji na zasadzie specjalnego wykształcenia czy delegowania przez społeczność, po



śród której zamieszkuje i działa. Działacz już takim się rodzi i ma to nieszczęście, że z chwilą nadarzającej się okazji — wypływa na swojej pracy. Nie każdy z wypływających działaczy znajduje swoją drogę i swój cel. Niejedni błądzą przez dłuższy okres czasu i szamocą się z wielu przeciwnościami, jakie mu się w życiu nadarzają.

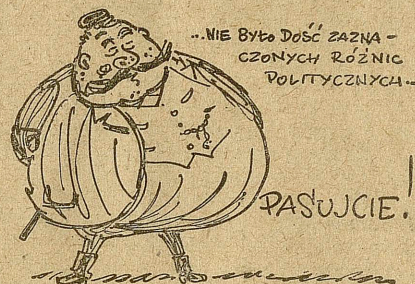
W okresie przedwojennym, kiedy nie było dość zaznaczonych różnic politycznych, gdyśmy dopiero jakgdyby dojrzewali po stułetniej niewoli politycznej, brakło niejedenemu działaczowi jasnego poglądu na rzeczywistość. Niemniej pragnął się on wyżyć w swojej pracy i szukał różnych możliwości. Przykładem dość szczęśliwego rozwiązania są właśnie przedwojenne Liskowy i im podobne.

Jeśli społeczność rolnicza dopiero od 80 lat wolna od jarzma pańszczyźnianego, wychowana w doktrynie osiągnięcia czegoś wyższego na pańską miarę, — zdołała jednak w wielu wypadkach wygospodarować w dziedzinie pracy społecznej nowe osiągnięcia, to jest właśnie zasługą tych działaczy „kapitałistycznego społeczeństwa”. Czyż można się dziwić tym społecznikom, że w braku wyrobionego poglądu społecznego, postawili oni w swej pracy raczej na formę kapitalistyczną, jeśli tylko w takiej formie jako uznanej za wyższą, zostali wychowani? Przecież, o ile można

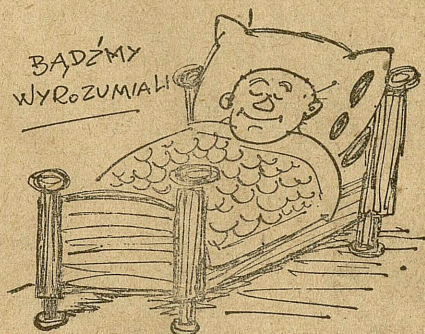
z dnia na dzień przetwarzać polityczne czy ekonomiczne oblicze kraju, o tyle nie można ad hoc przetworzyć zapatrywania narodu. Są ludzie dość giętkiego usposobienia, którzy potrafią pasować do każdej rzeczywistości, ale to również nie jest ani ich zasługą, ani też ich wadą. Jest to zwykła przywara przechodząca z pokolenia na pokolenie jeszcze jako pamiątka po pańszczyźnie.

Z drugiej strony, właśnie takie nie podbite działaniem politycznym robienie wsi społecznych wpłynęło bardzo poważnie na ogólne podniesienie się kultury zarówno rolniczej jak i ogólnej, co nie jest sprawą do pogardzenia. I właśnie dopiero na tym podłożu mogła narastać jako forma doskonalsza — dojrzałość polityczna i typowanie się dzisiaj już ustalonego kręgosłupa politycznego naszego rolnika. Dzisiaj już każdy chłop doskonale zdaje sobie sprawę, że można się obejść bez dziedzicowskiego prowadzenia za rączkę w sprawach społecznych i politycznych. Że trzeba mocno ujmować w chłopskie, twarde garście sprawy wsi aby służyły dla ogólnego dobra a nie tylko jednostek.

W dalszym ciągu, uważam, że o ile autor artykułu, W. R. niepotrzebnie się uniósł w zakończeniu swojego artykułu, o tyle redakcja zbyt surowo sądzi działalność przedwojennych działaczy chłopskich, którzy nie mieli możliwości lub po prostu zabrakło im odwagi udrapowania się w bohaterską pozę męczenników idei ludowej. Nie każdy bohater był społecznikiem jak i nie każdy społecznik urodził się na męczennika. Obecnie z działaczami społecznymi życie robi to samo, co rolnik robi ze zbożem, które wymłócił na młocarni. Odsiewa go na różnych maszynach aby w rezultacie otrzymać czyste ziarno nadające się



do siewu. Ale to czyste zboże wyrosło wśród chwastów i bynajmniej nie wiele mu one zaszkodziły, co najwyżej opóźniły jego rozwój. Tak i my dzisiaj już nie potrzebujemy obawiać się działalności dawniejszych „kumaczy” i „pasowaczy”, gdyż w bardzo rzadkich wypadkach zdołają się oni zdomować w nowej strukturze organizacyjnej. Otrzymany przez nas spadek po ich działalności często może



niepraktyczny lub staromodny, ale niemniej posiadający pewną wartość, przyjąć musimy i przyjąć musimy dostosować go do nowych potrzeb i nowych prądów.

Dzisiejszy Związek Samopomocy Chłopskiej to nie dawne Centralne Towarzystwo Rolnicze obszarniczo — reakcyjne, ani też nie Centralne Towarzystwo Organizacji i Kółek Rolniczych oparte na wielkoziemiaństwie i chłopach bogaczach. Toteż dzisiaj nie obawiamy się spaczenia myśli chłopskiej, posiadającej dostateczne oparcie polityczne i wyrobienie społeczne. Reforma rolna oddała wsi tysiące dawniejszych jej wrogów, sztucznie tworzonych przez dwór, zaś dzisiaj mocnych i wiernych sprzymierzeńców chłopskich. Ci dawniejsi parobcy a obecnie chłopci na swoich zagonach, nie dopuszczają aby we wsi odżyły dawniejsze zwyczaje kumoterstwa i śledziennictwa.

Toteż bądźmy wyrozumiali na przedśmiertne pienia zamierającej doktryny społeczno-kapitałistycznej z jej zawodowymi działaczami. Niechaj, spełniwszy co potrafili i mogli, przyglądają się jak młodzi nowym zapalem ruszać będziemy z posad kulę ziemską. I mam wrażenie, że największym nieszczęściem dla nich będzie, że potrafimy się doskonale bez nich obchodzić.

Piotr Chmura

I JELONKÓW TRZEBA UCZYĆ

W

ypowiedź Ob. Jelonka — stanowi nowy przykład rezerwowstwa, nabytego w mętnej i szkodliwej szkole wychowania.

Według niego ludzie rodzą się o gotowym przeznaczeniu... do zawodów, pozycji i roli społecznej. 1) „Działacz już takim się rodzi”. 2) „Są ludzie dość giętkiego usposobienia, którzy potrafią pasować do każdej rzeczywistości, ale to również nie jest ich ani zasługą ani też wadą”.

Skąd u Jelonka takie założenia u podstaw wiedzy o życiu jednostkowym i społecznym ludzi? Wydaje się, że mamy tu do czynienia z pogłosem poglądów, na jakich rości faszyzm i jakimi w części paraliżował gotowość do obrony zagrożonych klas i narodów. To w fazie imperialnego kapitalizmu, już u jej początków „uczeni” Gobineau i Chamberlain wysunęli pseudo-teorię zależności tzw. antropogeograficznych. Pochodzenie rasowe, i położenie geograficzne w ich spekulacjach prowadziły do wniosku o zasadniczych różnicach w inteligencji i uodolnieniu, dzielących od mienne rasy i podrasy (tzn. odmienne kolorem skóry i budową czaszki). Zaczęło się więc od legalizowania militarystycznego imperializmu kolonialnego a przedłużyło się w hitleryzmie (dziś w panamerykanizmie) do legalizowania podbojów typu kolonialnego w granicach samego świata białych w kolebce tego świata — Europie.

Związek pomiędzy poglądami Jelonka a przypominanymi tu spekulacjami żywego i dziś faszyzmu polega po 1) na biologicznym wyjaśnianiu w ogóle kultury, a w szczególności społecznych wartości i pozycji ludzi. Po 2) na takim wyjaśnianiu po ostatnich doświadczeniach hitleryzmu, a obecnie „ładu amerykańskiego”, miażdżącego wolność narodów w Europie Zachodniej. Te doświadczenia wymagają — od młodych przede wszystkim — światopoglądu przeciwstawnego, świadomie oczyszczonego z zarazków, jakimi kapitalizm imperialny zatrzuwa klasy i narody eksploatowane.

Od tego się zaczyna: „działacz już takim się rodzi”. W Ameryce rodzą się nimi kapitaliści. Do niedawna rodziła się i u nas. Do niedawna u nas miliony ludzi, rodzących się chłopami i robotnikami, skazane były na wyzysk, nędzę i ciemnotę przez tamtych, urodzonych w Polsce i za granicami na ziemiach, fabrykantów i bankierów.

Kim się urodziłeś tym bądź! Dobrze sobie! Któż to mógł głosić? Komu to było potrzebne? Kiedy miliony (u nas) nie mogły skończyć nawet 7 oddziałów szkoły powszechnej, ergo (zatem) kiedy wracały w analfabetyzm i ciemnotę — to zdaniem ob. Jelonka nie powinno przeszkadzać, aby powiedzieć o tym końcowym wyniku: miliony rodzą się na cie-

mnych ludzi. Tępotą umysłowa to cecha większości ludzi — panie tego — naturalna!

Ludzie pasują do każdej rzeczywistości, co nie jest ani ich zasługą ani wadą — naturalna ludzka właściwość! Zatem moral: pasujcie! Pasowanie jest naturalne, poza dobrem i złem! Kto to mówi? USA mówi to Anglii, co się wyklada na: pasujcie do naszej dyktatury i pasujcie z kolonii waszych i dominiów. Pasuj Francjo do pax americana, tzn. pasuj z niezależności gospodarczej, z Zagłębia Ruhry, z zabezpieczenia od Niemców, które pax americana do wojny na ciebie przygotowuje.

Przecież myśli, wyrażające prawa szersze, ogólniejsze, Ob. Jelonek, mają i konsekwencje szersze. A Wy wygłaszacie „teoryjki”, których konsekwencje społeczne dość wyraźnie chyba konkretyzują się na tle współczesnej polityki świata. Cóż to, i o barbarzyńskim najeździe na Europę Niemców hitlerowskich i o zwycięskim ich złamaniu przez Armię Czerwoną myśleliście tylko według Waszego oberka: wojna to wojna? Albo: ludzie rodzą się do wojny, to wojna przychodzi?

Jest u Was sporo i sanacyjnego rezerwowstwa. Nie było — w/g Was — przed wojną „dość zaznaczonych różnic politycznych”, bośmy „dopiero dojrzewali po stułetniej niewoli politycznej”. To są duby smalone. Trzeba wziąć w garść książki a być również choćby na trzech wiecach politycznych, to się dowiecie, czy nie było dość zaznaczonych różnic politycznych. Straszliwe głupstwo palnieście wobec historii. Ale to jeszcze pół biedy. Cała bieda polega jednak na tym, że Wy macie już gotową „historiozofię” (pogląd na historię) z sanacyjnej wypożyczalni. I ona Was zatrzymuje przed potrzebą zbadania i poznania prawdy historycznej. Owszem, to służyło sanacji. Była niewola, a potem — państwo — wykladała sanacja. Co było w niewoli, to się nie liczy. Ruchy społ.-polityczne z tamtych czasów coż znaczą bez praktyki własnego państwa? Od początku, do freibówki partii klas, zwanych siebie „uciemiężonymi”. Kto robi „państwo” — ten ma! Wiadomo — robiło je ziemiaństwo i burżuazja. I dlatego nauczali: dojrzewajcie po stułetniej niewoli, a my za was, no i przeciw wam to urzekające państwo... Tak uczono młodzież w szkołach. bo działaczy i członków partii tymi banialukami nabrać nie było tak łatwo! Jaki to belfer wbił Wam te zasady w głowę?

Dopiero od 80 lat „społeczność rolnicza” wolna jest od jarzma pańszczyźnianego. I dlatego w/g Was nie można dziwić się „brakowi wyrobienia poglądu społecznego” a nawet należy jako zasługę poczytać „kapitałistyczne uspołecznienie” działaczom, którzy je robili. Szkoda, żeście nie dodali trzeciego wniosku: rewolucję zrobiliśmy za wcześnie. Dopiero 80 lat od pańszczyzny. Wiś nie uspołeczniła.

Kapitalizm wyższego rzędu na wsi jeszcze za mało, gdzie nam do przedwojennej wsi czeskiej, duńskiej, szwajcarskiej. Poczekaj, na... ewolucję. Bo jeszcze i to niedomówione tkwi u Was założenie. 80 lat trwały na wsi kapitalistyczne stosunki, tzn. 80 lat trwał dramat milionowych mas, z pokolenia w pokolenie katastroficznym rosnący. Tego Wy nie widzicie i nie rozumiecie. Dlatego dla Was 80 lat to tak mało. Życie fikcją lat, że mało lat mało zmienia, wiele lat dużo zmienia, fikcją, że, czas mechanicznie zmienia, że mechanicznie prowadzi do postępu. Ot, wyznawca teorii ewolucji.

Dzielićcie działaczy na bohaterów i nie bohaterów, na męczenników i nie na męczenników. Nie bohaterzy i nie męczennicy to w/g Was ci od „kapitalizmu uspołecznionego” — społecznicy nie polityczni. Znow bzdura. Już to przy okazji Godzianowa wyłożono szeroko we „Wiś”, że owszem, byli polityczni, bo wszyscy ludzie i zawsze są polityczni. Zawsze bowiem działają w interesie jakiejś klasy i w każdym okresie historycznym określony konflikt klas rozkłada działania ludzi na rzecz jednej strony barykady przeciw drugiej stronie. Wasi społecznicy „nie podbici działaniem politycznym”, podnosząc kulturę rolniczą i robiąc „Liskowy” rozwijali i pogłębiali stosunki kapitalistyczne na wsi, tzn. pogłębiali odsiew na kapitalistów wiejskich (liczebnie malejących) i na rosnące masy rozdrabniającego gospodarstwa i proletariatu chłopskiego. A ten proces na wsi utrwalał kapitalistyczną podstawę ustroju państwa i jego półkolonialną zależność od kapitału zagranicznego. Męczennikami oczywiście nie mogli być i nie byli, skoro to oni fabrykowali masy męczenników, z których wyrastali — przywódcy walki z ustrojem — bohaterzy. Teraz ich — powiadacie — odsiejemy otrzymując czyste ziarno. „Ale to czyste zboże wyrosło pośród chwastów i bynajmniej nie wiele mu one zaszkodziły, co najwyżej opóźniły jego rozwój”.

Co najwyżej opóźniły! I to się nazywa: nie wiele — Sami nie wiecie, ile przez Was przemawia w kapitalizmie rozrośniętego cynizmu, ile pogardy i lekceważenia dla drugiego człowieka, dla ludzi. Toż przecież już sto lat temu podniosł proletariatu pierwszą w Europie rewolucję przeciw kapitalizmowi. I odtąd nie spoczął w walce o wielką ideę ludzkości: sprawiedliwość społeczną. Ale właśnie chwasty go dusiły, dusiły strajki i rewolucje (jak Komuna Paryska). I pętają dziś jeszcze. I dziś dlatego walczyć nadal musimy, odrzucając Waszą zachętę do spoczęcia na laurach rewolucji. I wyrozumiali nie będziemy na „przedśmiertne pienia zamierającej doktryny społeczno-kapitałistycznej z jej zawodowymi działaczami”. Bo to nie pienia a działalność, walka z tamtej strony, obrona przeszłego, odrzucanie przeszłego.

Stefan Stodoły

BEZPARTYJNY ŚREDNIAK

I.
Jan Wantuła nie jest jedynym w Polsce chłopem — bibliofilem i pod niejedną chłopską strzechą znajdują się ciekawe księgozbiory, warte przejrzania. Samu jednak przejrzanie katalogów nie wiele by powiedziało, więcej powie powiązanie dzieł księgozbioru z dziejami jego właściciela: co decydowało o doborze księgozbioru i o czym decydował księgozbiór? Był czas, że dziwy te i unikaty uczyniły się cenić i przeceniać, że każdy z nas, którzy mieniliśmy się być inteligencją wiejską, poszukiwał swego Wantuły tak długo, aż go znalazł. Miał swoich Jan Wiktor i pisywał o nich rzewnie, mieli społecznicy wszelkiego autoramentu, a że był czas, kiedy wypadło się i mnie w ich poczet zaliczać, więc i ja szukałem, aż znalazłem.

Nie było kim był mój bibliofil... Jego dom okazał się zapadł jakoby w pyszny sąd, przed białymi okienkami przez całe lato coś zawsze kwitnie i wonieje, opodał brzęczą pszczoły... A „Wantuła”, mój filozof, nikomu i w nic nie wierzący przymruża niebieskawe oczy rad zawsze ze siebie i z wszystkich, którzy wydają mu się być zdolnymi do zrozumienia jego pełnych ironii uwag o sobie i swojej wsi i o świecie całym... Nieraz bywało, przyjaciel mój, nie świętując w niedzielę kopie sobie w ogrodzie ku nabożnemu zgorszeniu niewiast, zdarzających ku kościołowi. Innym razem siadał na ogrodowej ławeczce, ładnej i wycackanej jak wszystko koło jego domu, ażeby z tekstu niemieckiego odczytywać mi wyjaśnienia ewangelii „Die Erklärung des Evangelium von Graf Lew Tolstoj”. Długo wypytywałem go czy wierzy? Zbysław mnie zawsze jednakowo brzmiałym „A zaś bym tam nie wierzył”... Było to w czasach, kiedy trzeba było od starego przyjaciela pożyczać książki w czasie wakacji czy ferii świątecznych. W czasie ostatnich moich gimnazjalnych wakacji (przed wojną) stosunek mego przyjaciela do mnie radykalnie się zmienił. Zostałem go w pasiece dziwnie rozeźlonego; musiało tak być, bo tak jest zawsze, kiedy pilnie strzeżone pszczoły wyroją się i zbiegną w niewiadomym kierunku.

„Mówia, Stefanie — powiłał mi z miejsca dziwną uwagę — mówią, że jest anioł stróż. A ba!że się roju przytrzymać, ażeby go pszczołki nie pożądliły”. W tym to czasie pokazał mi najsekretniejszą część swego księgozbioru, której nigdy przedtem nie udało mi się u niego zobaczyć. To, co tam było, poznałem wcześniej: synowie wieś Ropczyc i Szadiszewa pokazywali mi już te rzeczy, ale u mojego przyjaciela nie spodziewałem się ich. Były tam: Renana: „Życie Jezusa”, „Dzieje św. Inkwizycji”, „Worek Judaszów”, Czesława Wrockiego, mnóstwo broszurek, „pisma pomniejszych” K. Marksa... Było także jeszcze wiele innych, ale przypominam sobie, że pisma i mowy J. Bojki były pięknie oprawne.

II.
Ow bibliofil, mój przyjaciel, syn „wyrobnika” i wieśniaka najmita, a wnuk flisaka, sam stał się średniakiem, ale za młodu był murażem i cieślą i od 15 roku życia chodził za zarobkiem wszędzie, gdzie go można było znaleźć. Stąd jego znajomość języka niemieckiego i rosyjskiego i stąd jego wiedza o świecie. Nie to jednak jest ważne; ważne jest, że był to znany na całą okolicę działacz ludowy, że miejscowe organizacje polityczne były po prostu z niego, nim żyły i prawie wszystko mu zawdzięczały. Radykalny był to społecznik, występował przeciw wszystkiemu, czego nienawidził, a nienawidził przede wszystkim uniozności i służalstwa i tych, którzy je w jakikolwiek sposób przejawiali. Kiedy zdarzyło mu się pracować w charakterze cieśli przy budowie jakiegoś hrabskiej stodoły zniechęcił go jasnie dziedzic, za pośrednictwem swego administratora.

— Zapytać go ile on żąda za tę robotę? — doleciał go przez niedomknięte drzwi słowa dziedzica.

— A ile on by dał? — zapytał nasz filozof tak głośno, że wystarczyło to za pożegnanie, od którego dumny dziedzic zatrząsł się ze złości. Działalność polityczną mego przyjaciela polegała przede wszystkim na zdolności argumentowania za koniecznością reform, szczególnie — reformy rolnej. Jemu wierzone i słuchano go na wiecach, poważano mądre zdanie i wymowę i interesowano się wszystkim o czym mówił... Jeżeli po dokonaniu reformy rolnej nie istniały u nas skrupuły, co do jej sprawiedliwego i prawnego dokonania, to wiele a nawet bardzo wiele w tym jego zasługi. Ostatnie lata przed wojną przyniosły mu sporo niespodzianek natury, jak sam mówił, politycznej, niespodzianek takich, jakie nie omijały żadnego czynniejszego w tym czasie ludowca.

III.
Późno, a nawet zbyt późno zacząłem te dociekania źródeł chłopskiego radykalizmu i znowu wracam do mego bibliofila i do jego sekretnej skrzynki z dziełami, na których widok strwożyłby się nie jeden dzisiejszy działacz społeczny. Znam ich bowiem tak wielu i wiem, że ich radykalizm ma nieraz dość ciasne granice. Jakże nie patrzeć z zastrzeżeniem na tych wiejskich ludzi partii, którzy przynależność do niej wykorzystują dla wypłynięcia, wyróżnienia się, choćby to były kościelne tylko zaszczyty. Inny był radykalizm tych wychowanych na wolności cielijskiej prasie „filozofów”, w rodzaju mój bibliofila. Biorąc do ręki owe książeczki, na których posładaczy były gromy z ambony i policyj. Oto Renana: „Życie Jezusa”, Chrystus wyjaśniony jako człowiek, a nie Bóg, według słynnych w okresie pozytywizmu tajemniczych pytań: wpływ klimatu, momentu historycznego i środowiska. Oto „Worek Juda-

szów”, bibuła zakazana z winietami karykaturalnych rysunków, przedstawiających w sposób odrażający kardynalskie kapelusze i żywym słowem rozwijających teorie Spinozy o istocie i powstaniu religii... A oto znowu wydawnictwo „Latarni”, rzecz o militarystyce, z ponurą reprodukcją obrazu Wereszczagina „Apoteoza wojny”. W tekście druga reprodukcja: „Owoce wojny”. Tak lat 40 kształtował swój światopogląd mój bibliofil i jego rówieśni przyjaciele, późniejsi zapaleni ludowcy, najczynniejsi działacze, ci którzy szli jakoś lewym ale drugim nurtem myśli ludowej. Lata przed pierwszą wojną światową, lata pauperyzowania się wsi galicyjskiej, wznowionej emigracji sezonowej, owe nagie przebliski uświadczenia klasowego wybiły decydujące piętno na umysłach tych, którzy od dołu kształtowali ludowców wsi. Mój bibliofil nie był jedynym wśród nich, a skoro się przerzucił pozódkie kartki roczników w „Przyjacielu Ludu” znajdzie się wiele tych drobnych artykułków nieraz niezdarłych, objawiających jednak pewien stopień uświadczenia klasowego. Redakcja ówczesna mo- że i stępiła ostrość tych głosów, ale to, co utrzymało się, jest nad wyraz wymowne. Wskazywało na samoukcie, dziekie w dużym stopniu, ale bogate odczytanie.

IV.
Dlaczego stary mój przyjaciel — robotnik i nawpół proletariusz o światopoglądzie materialistycznym i ateista nie włączył się w rewolucyjny ruch robotniczy, dlaczego nie stanął pod czerwonymi sztandarami, chociaż miał do nich wiele sympatii i pełne zaufanie? Pytanie to powtórzyć należałoby wobec wielu ludowych działaczy. Dziś mi się wydaje, że decydował tu nieszczęśliwy a swojskie polski kompleks wieś — miasto...

Robotnik sezonowy, wychodzący ze wsi stanowią w latach bezrobocia, a tym samym największego nateżenia ruchu rewolucyjnego zbyt poważną konkurencję, a przez to samo odgrządał się od środowiska robotniczego miejskiego... Ponadto nie trzeba dodawać, że zdrow fizycznie i na serio traktujący swój obowiązek pracy był zawsze doskonałym robotnikiem. Dzisiejsze hasła współzawodnictwa nie były mu obce już wtedy, kiedy nie można było uważać za dobre „nieszanowanie pracy”, bo one właśnie stanowiły o jego wartości wobec przedsiębiorcy i to właśnie oddziaływało go od jego miejskiego towarzysza i nie dopuszczało tam, dokąd ciągnęły go przekonania i sympatia... Na przyszłość stał kapitalistyczny nadmiar podaż rąk do pracy i wynikająca stąd konkurencja.

V.
Mój przyjaciel „średniak”, nieco dziwak i bibliofil jest już starym człowiekiem i nie

potrzebuje już, jak dawniej wychodzić wiosną ze wsi i wracać późno jesienią...

Nie potrzebuje także zapracowywać się na swojej gospodarczej, a sad, pszczoły i książki wypełniają mu czas. Znowu przychodzi do niego, ażeby wypełnić życzenie redakcji „Wsi”, by dowiedzieć się czegoś o skutkach i wpływie marksistowskiej propagandy w przeszłości na dzisiejszość i przekonuje się, że nie poszły na marne wysiłki anonimowych nieraz autorów owych broszurek, roztrząsających kwestie takie jak: „czy dzisiaj nie ma pańszczyzny?” Mój stary przyjaciel przegląda jakiś dziennik i siadając na ogrodowej ławeczce mówi:

— Przechodziłem koło domu lekarza i widziałem: gromady ludzi, cały rząd furmanek od rana do wieczora. — Lekarz nie może dać sobie rady. I każdy mówi, że takie czasy, że ludzie tylko chorują.

A czy dawniej nie chorowali? — Stary wyciąga ku mnie szyję i przymruża oczy — A ilu to kiło dawniej w alkierzykach, to w sadku, jak ten Boryna z „Chłopów” i kto wtedy pomysł o lekarzu?... I kto wtedy tak dbał o dzieci, jak dziś dbają? Dla kogo ważniejsza była szkoła od pasienia bydła?

To tylko część wywodów starego ludowca jego mocnej i niezmiennej niezbitej aprobaty współczesności. Zachwala sobie nie tylko to z czym styka się codziennie ale i wiele rzeczy, o których wie z lektury niezbyt zresztą regularnej dzienników i czasopism. A dlaczego ten wielbiciel nowego ustroju nie znalazł się w szeregach przodującej partii?

Zdaje się, że na to trzeba odpowiedzieć jego słowami. „Co ja bym tam między nimi robił? Wójtem być nie zamierzam, od podatku wykreślić się nie chcę, syna od wojska nie reklamuję”. Wylicza płynnie wszystkie znane dziś na wsi nadużycia, których dopuścili się nierazko działacze i urzędnicy, zastawiający się kartą partyjną. Objaśniam go, że kończą się te hece i że na tych, o których mówi już „pojechało”. Patrzy z niedowierzaniem i kręci głową — to trzeba — mówi — wiele lat, wiele szkół, uniwersytetów, trzeba ludzi z głową a nie brzuchem. Mówię mu, że chciałbym widzieć jego w tych szeregach, że przez to przedziwnie dośrodoł takiego stanu rzeczy jaki sobie wyobraża.

— A no zobaczmy — potrząsa głową i przymruża oczy mój wyznawca materializmu dziejowego, materializmu w duchu jeszcze pozytywistycznym i ducha jeszcze drugiej międzynarodówki, ten mój wielbiciel współczesności, bezpartyjny średniak.

VI.
Myślę, że na tym starym bibliofilu-działacz zacząłaby jego lektura. Pisałem już: pozytywistyczna. Duch ewolucji, naturalny, powolnych przejęć. Duch postępu automatycznego ale i dlatego nie szybkiego,

Jan Aleksander Król

W atmosferze Kamieńska i Gorzkowic

Autor listu „Jak to jest z Kościołem?” („Wiś” Nr 48) okazał się niestety — „biażem XX w.” — jak sam siebie mienił w nowym do mnie liście. Nie dlatego, że tak się nazywał, ale dlatego, że nowy jego list nie ma już nic wspólnego ani z pragnieniem informacji ani z polemiką, w którejby szło o sensowne umocnienie własnego stanowiska i racjonalne kruszenie argumentów przeciwnika.

Nowy list pisał już niepomahomany nieczym fanatykiem, zapieniony niedouk i zaprzysięgły adherent plebanii. Tego rodzaju ujadających bredni nie mamy powodu drukować u nas. Niechże sobie je ów „nauczyciel z Kaliskiego” umieszcza w prasie obozu katolickiego, gdzie nawet tam zajmie najskrajniejsze skrzydło „Ciemnogrodu”.

Wypadki w Kamieńsku i Gorzkowicach postawiły przed czytelnikami codziennej prasy galerię postaci, których intrygi potrafiły wywołać „średniowieczną psychozę tłumu”. Oskarżonych można podzielić na dwie grupy. Wychowujących i... wychowywanych. Nici całej sprawy zbiegają się w wychowawców. Dzieło wychowawców wyrosło z długiej, pośrednio do praktycznego działania sposobiejszej szkoły. Nasz nauczyciel z Kaliskiego należy do tej grupy. Trudno mi o nim myśleć inaczej, jak nie o jeszcze jednym reżyserze ponurego teatru średniowiecza, do którego na serio wychowuje młodzież na prowincji.

Chciałbym tu zapytać odpowiednie instancje Ministerstwa Oświaty — jak to jest z programem pedagogów, kształcących nauczycieli szkół podstawowych? Jak wygląda „historia wychowania”, jak historia rozwoju szkolnictwa i historia nauczycielstwa? Przecież absolwent pedagogium musi chyba tyle wiedzieć, że podobnie w Polsce jak i w innych krajach Europy szkoła z kościelnej przekształciła się w świecką. Nauczyciel-ksiądz i jego pomocnicy bakałarz-kleryk i organista przekształcili się w nauczyciela świeckiego, całkowicie niepodległego w swoich funkcjach i organizacji szkolnictwa plebanii i kurium biskupim. Tak biegła historia szkoły i nauczycielstwa. Biegła bowiem wzdłuż rozwoju nauki, która u schyłku średniowiecza przez stopy i wieżenie musiała się emancypować spod ograniczającej wiedzy metafizyki Kościoła.

Po tym historycznym przełamaniu okowów magii i metafizyki: po odrzuconej alchemii i astrologii wykwiatają triumfalnie nauki o astronomii, o fizyce, o chemii, przypinając skrzydła do ramion nowym siłom wytwórczym, nowej technice produkcji, nowej cywilizacji. Nowożytnego nauczyciela zrodził właśnie ów rozdział w praktyce społecznej nauki od religii. Jest on spadkobiercą nurtu emancypacji wiedzy świeckiej, spadkobiercą dlatego jej postępowej, odkrywczej tradycji. Wraz z jej narastaniem rósł jego autorytet, klasowo-społeczne znaczenie zawodu nauczycielskiego. Wszystkie natomiast siły przeżytków feudalizmu (dwór i plebania) obniżały i hamowały jego wpływy i użyteczność społeczną. Wszystkie siły rosnącego kapitalizmu czyniły to samo. Na placówce szkoły powszechnej na wsi czy w mieście broń oświaty zmuszony był kierować przeciw masom ludowym. Opium elementarnego oświecenia, dawnowane dla części tylko dzieci każdego pokolenia, w treści i zakresie służyło dostosowaniu przyszłych dorosłych chłopów i robotników do kapitalizmu, oddaniu ich na tęp kapitalistycznego rynku towarowego i rynku najemnej pracy. Ta wiedza, wiedział o tym dobrze nauczyciel, nie uzbrajała jeszcze przeciw kapitalizmowi, nie uczyła krytycznie poznać go i ocenić. A dla milionów była ona pierwszą i ostatnią szkołą. Wyższe szkoły były dla tych, którzy potem mieli panować nad milionami tych po elementarnej szkółce, którzy to niedoświecenie mas użyc mogli przeciw nim dla cynicznego, bo aż legalnego wyzysku.

W historii nauczycielstwa zawarte są dzieje walk. I dla każdego nauczyciela droga i własna może być tylko jedna tradycja — postępu. Tradycja walki z ograniczeniami średniowiecza i kapitalizmu, z ich kurczeniem zakresu wiedzy, z nasycając jej irracjonalizmem, z apologią wyzysku i nierówności społecznej.

Pięćdziesiąt lat temu stoczył J. Bojko we sejmie galicyjskim wielką batalię z posłem również ludowym, Kramarczykiem, tubą ziemianko-klerykalnej polityki.

Kramarczyk żądał 1) zmniejszenia ilości lat nauki nauczyciela, obniżenia jej poziomu, 2) rekrutacji kandydatów z organistów, kościelnych i ministrantów, 3) związania seminariów z klasztorami. One

miały być dyrekcjami i kuratoriami dla nauczycieli i szkół wiejskich. A zaczęło się od zachwyty Witkiewicza dla kultury ludowej górali. Od poezji trażniańskiej, od malarstwa, biorącego za temat sielskie krajobrazy, od etnograficznych badań i towarzysztw, od propagandy publicystycznej obozu Narodowej Demokracji, która piórami Wasilewskiego, Popławskiego, Pawlikowskiego i wielu innych wszystko, co było rezerwatem, tragiczną pozostałością z pańszczyzny i średniowiecza w warstwie chłopskiej, chciała zachować dla panowania i rozwoju zrosłych z sobą: burżuazji i ziemianstwa.

Tak to została politycznie i praktycznie wykorzystana pełna nieraz szczerzego entuzjazmu ludomania artystów i pisarzy. Z powrotem do średniowiecza! Z powrotem nauczyciel w sukienkie bakałarza-kleryka, organisty i ministranta!

Bojko (sam nauczyciel ludowy), wystąpił na sejmie z ostrą odprawą. Była ona wstępem do „Dwu dusz”. „Chłopa — mówi — użyc do postawienia wniosku, którego urzeczywistnienie cofnęłoby nas o sto lat... Lud polski takich szkół i nauczycieli nie chce. Lud polski chce mieć nauczycieli światłych!... Będziemy obchodzić 50 rocznicę śmierci Słowackiego, który wyrzekł wielkopomną odezwę do narodu: „Lecz zaklinam, niech żywi nie tracą nadziei i przed narodem nieśmiały oświaty kaganiec”. Bojko nie mówił we własnym tylko imieniu i nie tylko w imieniu nauczycieli. Odwoływał się do szerokiej i zorganizowanej bazy społecznej, do ruchu ludowego, w którym wówczas świeciły takie nazwiska, jak Wyśloucha, Stapińskiego i Witosa (r. 1899). Ten ruch, bił się wówczas o prawa gospodarcze, społeczne i polityczne dla wsi przeciw dworowi i przeciw plebanii. Dlatego w pięć lat potem ogłasza Bojko „Dwie dusze”. Ostrzeżenie dla kleru i wezwanie mas chłopskich do zrzucenia pańszczyźnianej, średniowiecznej uniozności, skoro obowiązują już prawa ustroju liberalnego, jakie i chłopom również przysługują.

A czy wiecie, co pisze mi nieprzytomny fanatyk, „nauczyciel z Kaliskiego”?

„Bojko źle kombinował „Dwie dusze” i marzył był katolikiem, zwyrodniałym karłem, renegatem, jak i Jehowcy, badacze, kręjące

i naczelny ich „reformator” Luterek, z którego to skostniałego ducha w prostej linii wyszłażnął się, czy też wyonili „Krzyżownik Hitlera”, ci wszyscy, co też jak on uznają 2 dusze... na pamięć ucze się i dzieci również w szkole ucze o prawdziwe wielkich duchach, o ich bohaterstwach dziełach i wyczynach a nie jadłem cuchnące cytaty Bojki, które nadają się obłąkać do Kulperkówna lub Tworek!” W tym stylu utrzymany jest cały, chaotyczny list.

Jedno jest pewne. Ten nauczyciel nie zna historii ruchu ludowego, nie zna tragicznych dzieł wsi polskiej po pańszczyźnie, nie zna historii rozwoju kapitalizmu w Europie, u nas i na świecie. Nie zna albo nie rozumie i nie chce zrozumieć. Albo jeszcze gorzej, nawet zna i rozumie ale jest wrogiem wsi, wrogiem jej bohaterstwu przeszłości, wrogiem jej walki o sprawiedliwość społeczną, wrogiem jej etapowych zwycięstw, które stwarzały historyczne wielkopomne dzieła. A do takich należy ten stan świadomości społecznej, osiągnięty przez wieś, jaki zarejestrował Bojko w „Dwóch duszach”.

„Nauczyciel z Kaliskiego” wyprowadza „Hitlerka” od Lutry, byle go nie wyprowadzić z kapitalizmu imperialnego. Chwali się, że uczy dzieci w szkole o wielkich duchach. Miałby to być i Kościuszko, Mickiewicz, Słowacki, Szopen (?) To jest czysta gra słów. To jest przykład, jak nazwiska rzeczywiście wielkich, rewolucyjnych duchów mogą stać się w ręku zacofańca parawanem dla wychowania uwsteczniającego o... sto pięćdziesiąt lat. Laskę robi Kościuszka, że niby cieszyć się chłopci i na dziś Manifestem Polanieckim. A Bojko, który chłopom w sto lat później pomaga zrzucić wreszcie i — dopiero — resztkę pańszczyźnianych, średniowiecznych zależności społecznych, Bojko już jest „karłem zwyrodniałym”, „renegatem”, „jadem cuchnący”, autorem dla wariatów z Kulperkówna?

Zaiste, wstecznicstwo „nauczyciela z Kaliskiego”, jak każde zresztą wstecznicstwo, graniczy z obłąkaniem, z blażenstwem pensjonariusza Tworek.

Zasmucający i niepokojący to okazy obrońcy Kościoła.

Patron duchowy nowych Gorzkowic i Kamieńska.

„Krótki kurs historii WKP(b)”

Ukazało się pierwsze polskie wydanie „Krótkiego kursu historii WKP(b)”. Książka ta ujmując dorobek myśli i czynu czołowej partii klasy robotniczej świata i przywódcy międzynarodowego proletariatu w walce przeciwko imperializmowi. Jest to książka — doświadczenie. Książka — pisana wysiłkiem i krwią mas pracujących Związku Radzieckiego. Ale „Krótki kurs historii WKP(b)” to nie tylko dokument historyczny i rewolucyjny doświadczeń. To równocześnie wysoce pouczający i wychowujący podręcznik strategii i taktyki walki klasowej. Z niego masy pracujące i wyzyskiwane miasta i wsi uczą się i poznają drogi swego wyzwolenia i metody walki o swą wolność społeczną. Dowiadują się, jakimi sposobami można i należy zwalczać wrogów klasowych bez względu na to, w jakich występują strójach — sutannach, togach, aureolach zaplesniałej tradycji, czy w prostych okryciach kułaków, spekulantów, różnych nierobów, leniuchów, darmozjadów.

Z „Krótkiego kursu” można poznać najbardziej ukryte i zawiłe przejawy walki klasowej. Można się z nich uczyć — i trzeba się uczyć.

Dobrze się stało, że właśnie teraz, w przeddzień Kongresu Zjednoczeniowego partii robotniczych i w okresie zaostrej walki klasowej na wsi, „Krótki kurs” dostanie się do rąk szerokich rzesz robotniczych. Robotników, drobnych i średnich chłopów.

Czytelnikowi, który dostanie do rąk „Krótki kurs”, trzeba jednak powiedzieć, że nie wystarczy go tylko czytać. „Krótki kurs” trzeba studiować — uważnie i skrupulatnie. Trzeba nad nim szeroko i poważnie dyskutować. Trzeba jego doświadczenia przenosić na własny teren życia i pracy, w specyficzne właściwości nowego okresu historycznego. Trzeba czerpać z niego praktyczne wnioski. Studia nad „Krótkim kursem” przyniosą wiele korzyści i podniosą znacznie świadomość klasową ubogich i średniorolnych chłopów. Wskazują im nowe, wyższe, doskonalsze metody zwalczania nieprzyjaciół wrogów klasowych pracujących ludności wsi — bogaczy wiejskich, kułaków i spekulantów.

K. S.

Wiadmo, jak się pisze w „Tygodniku Powszechnym”

Tygodnik Powszechny zaczął złośliwą notą mój artykuł we „Wsi” o impresjonizmie.

1) P. „Kar” zarzuca mi, że wiadomości o impresjonizmie usiłuję połączyć z tym co słyszałem o bazie ekonomiczno-społeczno-politycznej tamtych impresjonistycznych czasów. Gdyby „Kar” dyskuutował uczciwie, musiałby wówczas stwierdzić, że w istniejącej literaturze mamy tylko ogólne powiązania impresjonizmu z epoką mieszczaństwa. Impresjonizm określa się tam, jako sztukę mieszczaństwa, bogactwo się w drugiej połowie XIX wieku. Dyskutować uczciwie, musiałby „Kar” napisać, że mogłem słyszeć tylko takie określenie impresjonizmu, które ujmowało go, jako jednolitą, nierozdzieloną całość — tę całość wiązało z klasą mieszczańską.

Tymczasem ja pisałem o dwóch etapach impresjonizmu: a) o okresie jego powstawania, i wiązałem jego narodziny z dolowym, plebejszowskim, pół-proletariackim nurtem lat 1840—70, ujmując go jako realizm widzenia materii historycznej swego okresu. b) o następnym etapie, gdy impresjonizm zostaje przechwycony przez wzbogacone mieszczaństwo i z narzędzia poznawczego, z realizmu, nastawionego na widzenie swej epoki — staje się „koloryzmem”, środkiem zafalszowania rzeczywistości i zniekształcenia jej na beztróską sielankę mieszczaństwa, cieszącego się życiem i użyciem.

Otóż gdyby „Kar” dyskuutował uczciwie nie mógłby on napisać, że o tej grze sił klasowych ja „słyszałem”. Musiałby on wówczas napisać że w istniejącej literaturze on nie czytał (a więc ja nie mogłem „słyszeć”) o klasowym uwarunkowaniu zmian, poprzez jakie przechodził impresjonizm.

2) „Kar” cytuję moje powiedzenie o obrazach rokokowych XVIII w., gdzie tło i część pejzażowa malowane są „lekką wielobarwną techniką niezależnych dotyków pendzla, a twarz głównej osoby — techniką zalazaną” i zapytuje mnie, czy ja rzeczywiście widziałem takie obrazy.

Czy „Kar” rzeczywiście jest takim ignorantem, jakiego udaje? Czy on nigdy nie oglądał (choćby w reprodukcjach) obrazów XVIII w. Lauerata, Bauchera, Fragonarda, rokokowców angielskich. U nas Norblina Wojnińskiego? Jaki sens ma to pytanie?

3) Na wypadek, gdybym wybrał z poprzedniego pytania, czeka na mnie nowa pułapka. „Kar” zapytuje czy nie wiem, że malowanie portretu w dwóch technikach jest metodą normalną, gdyż zwykle zatrzymuje się wzrok na twarzy modelu. Nie, p. „Kar” — to nie jest metoda zwykła. Jest to jedna z metod — metoda historyczna (a więc i klasowa) uwarunkowana. Wiemy, że w malarstwie wcześniejszym i twarz i tło były malowane jednako wyraźnie („zalazana”) techniką. Wiemy również, że portrety impresjonistyczne były całe (i tło i twarz) malowane techniką niezależnych dotyków pendzla. A więc tylko malarze rokokowi, i ci z późniejszych którzy jeszcze nie wyszli poza świadomość rokokową — malowali twarz jedną techniką, a tło drugą. Więc po co nazywać normą to, co jest związane z jednym z okresów historycznych? Po co uważać za state to, co jest historycznie przemijające?

4) „Kar” twierdzi, że zaczątków impresjonizmu należy szukać nie w wieku XVIII, bo

„już Veronese i Velasquez i Holendrzy i malarze bizantyjscy”. Nie analizując żadnych rzeczywistych składników ich malarstwa, twierdzi po prostu i gołosłownie (za, paroma niemieckimi historykami sztuki), że Velasquez i Holendrzy, i Bizancjum... Gdzie Rzym, a gdzie Krym? A może jeszcze dalej? Może — Bizancjum, Indie, Sassanidzi, Aleksandria, Kreta, Altamira i — Adam, jako pierwszy człowiek. Jak rozmach, to rozmach! Nie kijem go, to pałką. Cóż łatwiejszego niż pisać aż do zupełnego zamętu w głowie czytelnika.

Pisałem o dwóch następujących po sobie pokoleniach impresjonistów i o odmiennej roli impresjonizmu, reprezentowanego przez te dwa pokolenia. Jedno działało w latach 1870, a największą intensywność drugiego przypada na drugą połowę lat 1880. Są to pokolenia nie tylko chronologicznie, lecz i artystycznie odrębne. Cóż z tego, że do jednego z nich należał Monet a do drugiego Renoir, tylko o rok młodszy od Moneta. Czy to nie możliwe? P. „Kar” być może młodszy jest ode mnie, ale przecież należymy do różnych obozów. I młodszy P. „Kar” broni pozycji starych konserwatywnych ideologii.

I jak tu dyskuutować z tego rodzaju „krytyką”, gdzie insynuuje mi się, że coś „słyszałem” (i widocznie nie zrozumiałem), powołuje się na kije i pałki (czy te, przedwojenne, korporanckie?) naszeptuje, że zamiast rzetelnego, samodzielnego myślenia poprzestaje na „wiadomo, jak należy pisać” — i to wszystko wzięte razem jest kulturą P. „Kar” i „Tygodnika Powszechnego”?

Z tego wszystkiego pozostaje jedno, czego panowie nie mogą strawić i co ich najwięcej boli — „widzenie uniżone”. Lecz co robić — epoka minęła, a wraz z nią przemieniło też bezpowrotnie i — „widzenie uniżone”.

I jeśli dla p. „Kar” — wiadomo jak należy pisać w „Tyg. Powsz.” — jest to faktem również historycznie i klasowo uwarunkowanym.

Władysław Strzemiński

I to ma być współzawodnictwo?

Szerokim echem odbiła się po kraju idea współzawodnictwa pracy. Szczególnie w bieżącym roku, na odcinku odbudowy kraju uwidocznił się jej wielki społeczny sens. Od miesiąca nie ma chyba dnia, abyśmy nie mogli przeczytać w prasie, że w coraz to innej gałęzi przemysłu, dzięki współzawodnictwu, podniosła się jakość i ilość wyprodukowanych dóbr.

Świat pracy chwycił w lot tę prawdę, że im szybciej, wydajniej i lepiej będzie pracował nasz przemysł tym prędzej odbudujemy kraj ze zniszczeń powojennych, tym prędzej podniesie się stopa życiowa narodu i wzrośnie dobrobyt. Klasa robotnicza, w której współzawodnictwo pracy jest najpowszechniejsze, już drugi rok z rzędu składa narodowi najpiękniejszy podarunek świąteczny — meldunki o przedterminowym wykonaniu planu.

Współzawodnictwo objęło również inne dziedziny życia społeczno-gospodarczego i kulturalnego kraju. W bieżącym roku wprowadzono je do miejskich szkół podstawowych — dawnych gimnazjów ogólnokształcących.

Jakże ono wygląda? W czym współzawodniczy młodzież — „przyszłość narodu”? Weźmy za przykład łódzką 11-letnią szkołę podstawową, która przed wojną uchodziła za wzorowe gimnazjum mieszczańskie.

Poszczególne klasy — jako całość — współzawodniczą między sobą w:

1) czystości. Chodzi o to, aby schludnie wyglądać, mieć czysty kołnierzyk, umyte ręce, uczesana głowę i nie zaśmiecać klasy, ani przyległej do niej części korytarza.

2) Pilności. Tu znowu, idzie o to aby nie spóźniać się na lekcje nie „wagarować” i koniecznie przynosić usprawiedliwienia od rodziców (w specjalnym zeszytiku) w razie nieobecności.

3) Postawie godnej ucznia. W każdej szkole młodzież broi. Zdarza się wybicie szyby, pobicie kolegi, hałas na lekcjach czy nieobecność w niedzielę na szkolnej mszy. Klasa, która ma mniej takich przewin na koncie — wygrywa.

To są zatwierdzone dotąd paragrafy współzawodnictwa. Nad resztą debatują kla-

sowe samorządy. Wśród projektów należy podkreślić pomysły współzawodnictwa w grach sportowych — piłce nożnej, koszykówce, siatkówce i boksie.

Jakże może być cel takiego współzawodnictwa? Kto zna dobrze ideały wychowawcze międzywojennych i jeszcze wcześniejszych gimnazjów mieszczańskich, ten może przypuszczać, że chodzi tu o realizację takiego ideału a więc wychodowanie młodego, eleganckiego, układowego gentelmana — sportowca.

Bo przecież nie chodzi tu o wyścig w dojrzewaniu do ustroju Ludowej Polski. Gdyby tak miało być, to przecież współzawodnictwo objęłoby przede wszystkim taką np. dziedzinę szkolnego życia jak organizowanie kół naukowych.

Czy nie lepiej byłoby na kółku polonistów wyjaśnić sobie społeczno-gospodarcze podłoże literatury pozytywistycznej, zaglądać do „Kućnicy”, „Odrodzenia”, czy „Wsi” zamiast wykrawać w papierze wycinanki dla ozdoby klasy?

Nie lepiej i pożyteczniej zapoznać się bliżej z polskimi ruchami politycznymi, niż tracić czas na podglądanie spóźniających się do szkoły kolegów?

Powinien wygrywać nie ten, kto ma czysto pod ławką, chodzi nienagannie ubrany i kopie dobrze w piłkę, ale ten kto lepiej rozumie rzeczywistość społeczno-kulturalną Polski Ludowej. Bo tylko taki naprawdę będzie jej potrzebny.

Inaczej nasza młodzież z miejskich szkół będzie się mocno rumieniła, jeżeli pomyśli serio o ciężkiej pracy i współzawodnictwie w klasie robotniczej.

pp.

Wszechnica Radiowa

Aktywiści wiejscy, kierownicy świetlic i nauczyciele pozyskują w tym roku nowego sprzymierzeńca i doradcę w swej pracy na wsi. Oto w dniu 18 października rozpoczęła swą działalność Wszechnica Radiowa powołana do życia przez Polskie Radio i Ministerstwo Oświaty. Na falach eteru dotrze nawet do najbardziej położonych od ośrodków kulturalnych osad i wsi usystematyzowana wiedza o dalekim świecie i bliskiej Polsce, o najnowszych zdobyczach nauki, o wielkich przemianach społecznych i najważniejszych problemach naszego państwa.

Pierwszy rok wykładów Wszechnicy Radiowej będzie miał charakter kursu wstępnego i obejmie 5 cykli wykładów:

Podstawowe zagadnienia Polski.

Nauka o świecie.

Rozwój społeczeństwa ludzkiego.

Ruchy społeczne ludzkości.

Podstawy naukowego poglądu na świat.

Wszystkie wykłady Wszechnicy Radiowej wygłaszane będą przez znawców poszczególnych zagadnień, a więc przez profesorów, socjologów, ekonomistów i biologów, przez działaczy politycznych i kulturalno-oświatowych. Każdy wykład będzie dwukrotnie nadany (rano o 9.30 i wieczorem o 19.40, a w niedzielę o 11.00). Wszelkie pomoce naukowe jak wykresy, tablice, bibliografie itp. przynosić będą bieżące numery czasopisma „Radio i Świat”. Do tego pisma będą dołączane specjalne miesięczne wkładki zawierające pełne teksty wszystkich wykładów z całego miesiąca. Każdy słuchacz ma prawo zwrócić się do Wszechnicy Radiowej z zapytaniem, jeśli tekst wykładu będzie budził jakiegokolwiek wątpliwość czy potrzebę dodatkowych wyjaśnień.

W poczet słuchaczy Wszechnicy Radiowej może być zaliczony każdy kto zgłosi na kartce pocztowej do Polskiego Radia, Związku Nauczycielstwa Polskiego lub Komitetu Centralnego Związków Zawodowych swoje imię i nazwisko, adres, wiek, zawód i wykształcenie.

Zarejestrowani słuchacze po wysłuchaniu wszystkich wykładów będą mogli na zakończenie roku akademickiego, tzn. w czerwcu, przystąpić do egzaminu przed Komisją Egzaminacyjną powołaną przez Ministerstwo Oświaty. Pomyślny wynik z egzaminów potwierdzi zaświadczenie z ukończenia I roku Wszechnicy.

Korzystać z wykładów będzie znacznie więk-

sza, jeśli słuchanie będzie zespołowe i połączone z koleżeńską dyskusją, kierowaną przez aktywistów wiejskich i oświatowców. Zorganizowanie więc zespołu Wszechnicy Radiowej powinno stać się ambicją każdego działacza społecznego, kierownika świetlicy i nauczyciela.

T. M.

ZMP-owice z terenu

Przed sądem ostatecznym

W „Słowie Powszechnym” z niedzieli 7 II, stopada nr. 305(582) przeczytałem bardzo interesującą „Rozmowę z niedowiarkiem” napisaną przez Pawła z Wolbromia. Otóż ten Paweł z Wolbromia (prawdopodobnie książd) pisze tam między innymi:

„Było to po skończeniu okresu spowiedzi wielkanocnej. Na mniejszych parafiach, zwłaszcza wiejskich, przeprowadza się jeszcze kontrolę odbywających spowiedź. Dzieje się to przy pomocy kartek. Po zwróconej uwadze jednej z matek, że brak jest kartki ze spowiedzi jej syna (nawiasem mówiąc, nauczyciela szkoły powszechnej, przebywającego u matki na zdrowotnym rocznym urlopie), otrzymałem na trzeci dzień list takiej mniej więcej treści:

„Uprzejmie komunikuję księdzu, że ja swoją spowiedź przed Panem Wszechwzrocznym już odbyłem. Do tego zaś niepotrzebne mi były żadne kartki, czy kratki, ani nawet ksiądz. Wypraszam sobie, by ksiądz w tej sprawie robił jakieś dochodzenia”.

Po przeczytaniu schowałem list do biurka — ot tak, na pamiątkę, ewentualnie, jako dokument przekonania pewnych ludzi”.

Praktyki proboszcza z Wolbromia skojarzyły mi się z praktykami prefekta z Opoczna. Oto tekst listu, jaki nadesłali uczniowie Państwowego Gimnazjum i Liceum im. Stefana Żeromskiego w Opocznie:

„Książd prefekt mimo, że zna powiedzenie, iż „przymusowy pacierz Panu Bogu niemiły”, wcale się tym nie martwi i wydał ośrodek o przymusowym uczęszczaniu na Mszę Świętą. W jego ustach zarządzenie to brzmi: „Ponieważ szkoła musi być solidarna, więc wyrazem tej solidarności będzie wspólne uczęszczanie na Mszę Świętą”. Nie dowierając jednak solidarności uczniów, wprowadził jeszcze listy obecności, a specjaliści pułkowie sprawdzają je i biedny delikwent długo się musi tłumaczyć z owej nieobecności. Ciekawy również jest fakt, że zbiórka do kościoła odbywa się na podwórku szkolnym, pod czujnym okiem księdza prefekta. Znalazło się kilku śmiarków, którzy próbowali protestować przeciwko takiemu stanowi rzeczy — uznano ich za bezbożników i długo mówiono się o nich na ambonie jako o „tych, którzy zeszli z drogi prawdy”.

Nie wszyscy jednak są tak odważni, jak ci koledy, których wymieniliśmy. Wielu z nas, rad nie rad, musi się podporządkować, obawiając się długich i zawiłych tłumaczeń, podgrzeź o bezbożnictwo, czy też sekciarstwo. Książd prefekt ma zresztą jeszcze inną metodę, potrafi znaleźć drogę do naszych matek i, wyszukując ich łatwości, odpowiednio do synków nastawiać. My jednak uważamy jedno: „kto jest w stu procentach katolikiem, to i tak do kościoła pójdzie, a ci, co chęci nie mają, to po co ich zmuszać?” Niechże więc skończą się — chodzenie pa-rami do kościoła i sprawdzanie list”.

Uczniowie.

„Ze zrozumiałych względów pod notatką się nie podpisujemy. Wiadomo, że na ucznia można zawsze „sposób” znaleźć. Sam sposób podpisywania się przez uczniów świadczy o terrorze, jaki uprawia książd prefekt. Takich sposobów zmuszania do pełnienia praktyk religijnych nie można bowiem określić inaczej — jest na to tylko jedna nazwa — terror. Sporządzanie przez specjalnych agentów list obecności w kościele, kartek przy spowiedziach, donosy dewotek pieczęlowanie zbierane — to przecież chyba nie gromadzenie materiałów na sąd ostateczny.”

kjj

W OSTATNIM NUMERZE 49—50 (177—178) z dnia 5—12 grudnia 1948 r.

S. M. Michajew — Manifest Komunistyczny i sprawa chłopstwa; Wiersze czeskie — Irzi Wolker — Ballada o oczach pałacza; Karel Toman — Przedmieście; Stanisław Kostka Neuman — Dydaktyka; Wiesław Jazdzynski — Meldunki o produkcji; Leonard Sobierajski — I dalekie i bliskie; Mieczysław Buczakówna — Jasna Brama; Seweryn Wyslouh — Germanizacja przed hitleryzmem; Stanisław Cieślak — W kapitalizmie nie ma planowej gospodarki; B. Bierut, J. Cyrankiewicz, R. Zambrowski, J. Berman, H. Minc, A. Zawadzki — Zjednoczona Partia Klasy Robotniczej; Kazimierz Szymczak — Pamiętnik robotnika z okresu okupacji; Jakub Litwin — O pamiętnikach robotników; Maciej Czula — Robotnicy i chłopcy; Leon Pokora — Jak rósł radykalizm społeczny na wsi lubelskiej; Nauczycielka — „Nie ustrój — człowiek wysokiego gatunku!”; Dyżma Galaj — Oredownicze krzywdzonych „przebiegłorców”; Kazimierz Jerzy Zalewski — Z wyborów samopomocowych; Józef Pogan — Rodowi działacze wsi; Józef Pogan — Douczony mętnik; Fakty i zdania; 18 ilustracji; 16 stron.

OGŁOSZENIE

Administracja tyg. społeczno-literackiego „Wiś” przypomina o wpłacie zaległej prenumeraty za rok 1948.

Jednocześnie zawiadamia, że od dnia 1 stycznia 1949 roku opłata za prenumeratę będzie wynosić: miesięcznie — 80 zł, kwartalnie: 240 zł, półrocznie: 480 zł, rocznie: 960 zł.

ADMINISTRACJA

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL

Redaguje Komitet

Adres Redakcji i Administracji: Łódź, Piotrkowska 133, tel. 100-93

Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ

REDAKCJA REKOPISÓW NIE ZWRACA

Ceny ogłoszeń: 1/1 kolumna 50.000.— zł; 1/2 kolumny 30.000.— zł;

1/4 kolumny 15.000.— zł; 1/8 kolumny 8.000.— zł;

Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, ul. Piotrkowska 133. Telefon 100-93

Warunki prenumeraty: miesięcznie 50.— zł, kwartalnie 180.— zł, półrocz-

nie 360.— zł. — Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto

PKO ŁÓDŹ VII—1080.

Drukarnia Nr. 4 Spółd. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik” — Łódź, Żwirki 2.

D—019210



